

Aleo he Polis!

Autor: Dolar84

Korekta ostateczna:

**Prereading/korekta wstępna/patroszenie ogólne: Cygnus,
Gandzia, Verlax, Fisk Adored**

Rozdział 2

„Pugna Navali”

Crystalopolis

12 czerwca 3 roku panowania Króla Sombry (1456 rok istnienia Cesarstwa)

Z wielkim trudem zdołałem zmylić tropy królewskich siepaczy, i teraz spokojny o swoją skórę, mogę kontynuować tworzenie tego, co prawdopodobnie będzie dziełem mojego życia. Szanowni czytelnicy mogą czuć się zdziwieni tymi słowami, jednak niech spróbują postawić się na moim miejscu. Jako uczestnik opisywanych wydarzeń, nie cieszę się miłością Króla i jego wiernych sługusów, a jeżeli wpadłbym w ich kopyta, to historia, którą staram się przywołać z mroków przeszłości, zostanie niewypowiedziana. Nie chcę robić z siebie osoby myślącej jedynie o obowiązku kronikarskim i nigdy nie zaprzeczę, iż moje życie jest dla mnie wyjątkowo wiele warte. Czasami jednak trzeba podjąć ryzyko, więc choć strach przed dostaniem się w moc Król... Nie. Nie Króla, lecz zwykłego uzurpatora, tyrana i zbrodniarza odpowiadającego za największe kucobójstwa w historii Krystallina Autokratorias, potrafi wręcz paraliżować.

Znowu jednak zacząłem wylewać na karty swoje żale i przemyślenia, a przecież kronikarz winien starać się pisać obiektywnie, przedstawiając jedynie twarde fakty. Inaczej to, co wyjdzie spod jego kopyta, zamieni się w zwykłą propagandę chwalcą jedną lub drugą stronę, a stąd tylko krok do przeinaczania faktów, oraz przypisywania innym fałszywych pobudek. Mając to w pamięci, postaram się hamować swe uczucie, i jeżeli już będę musiał dawać im upust, to jedynie w moich wtrąceniach, a nie tekście, który opowiada samą historię.

Skoro udało mi się ustalić twarde warunki dla opisywania przeszłych wydarzeń, nie nudzę szacownych czytelników swoimi przemyśleniami i wracam do chwil, które nastąpiły po słynnym exodusie z Zafeiripolis.

Trakt do Elektron Epíneo
7 maja 1453 roku istnienia Cesarstwa

Cudowna, późnowiosenna pogoda towarzyszyła uchodźcom w ich drodze do Elektron Epíneo. Na drzewach dojrzewały owoce, a łąki obsypane były niezmierną obfitością kwiatów. Jeżeli dodać do tego świecące słońce i towarzyszący mu lekki wietrzyk, dostawało się obraz wprost sielankowy. Obraz, w którym zwarta kolumna idących przed siebie kucyków była prawdziwym dysonansem. Również słupy dymu wyrastające w oddali niezbyt pasowały do zachwycającej scenerii.

Zmęczony Xiphos otarł czoło, myśląc o czekającej na nich przystani. Według słów ostatniego gońca, zgromadziło się tam ponad piętnaście tysięcy dusz, chronionych przez kilka setek zdeorganizowanego wojska z dwóch prowincji. Niestety jego wiedza była żałośnie niepełna – powstańcy za wszelką cenę starali się utrudniać poruszanie po traktach. Nie polowali już wyłącznie na gońców, ale odważyli się nawet kilkakrotnie zaatakować kolumny uchodźców. To była wojna podjazdowa w czystej postaci. Stary namiestnik kłął w surowy kamień – żołnierze nie byli przygotowani na tego rodzaju starcia. Ich zadaniem było rozbijanie wroga w walnych bitwach, oraz obleganie i zdobywanie miast. Ciągłe zasadzki, czy też niespodziewane ataki, wyczerpywały ich zarówno fizycznie, jak i psychicznie.

Wyglądało na to, iż nikt nie docenił rozmachu z jakim rebelia została zaplanowana. W tej chwili walki trwały na całym wschodnim wybrzeżu Límni Margaritári. Katepánō Vírýllio niemal oszalał z rozpaczy, gdy dowiedział się, że z jego macierzystej prowincji uszło niewiele ponad tysiąc kucyków. Teraz, kiedy przechodził wśród żołnierzy, nikt nie śmiał się do niego odzywać, a wszelkie jego polecenia spełniane były z błyskawiczną prędkością oraz absolutną precyzją, gdyż opieszalym i leniwym, wymierzał na miejscu straszliwie surowe kary. Ta przemiana nastąpiła w nim, gdy dowiedział się o bestialstwach, jakich dopuszczali się rebelianci w Heliodor Pediáda. Narzucił straży przedniej dyscyplinę absolutną, skutecznie ją przy tym egzekwując, a polowanie na powstańców, stało się nowym celem życia. Xiphos rozumiał to podejście – wśród tych, którzy uciekli, nie było jego żony i trójki dzieci, a że był powszechnie znany, to szanse ich ocalenia praktycznie nie istniały. Cały swój ból, całą rozpacz i wściekłość, wyładowywał teraz na tych, którzy sprowadzili na niego to nieszczęście.

Tak naprawdę jedyną rzeczą jaka mu w tym odmienionym żołnierzu przeszkadzała, był pewien brak umiarkowania. Po pierwszych trzech dniach podróży szli niemal zupełnie na ślepo, ponieważ Vírýllio pod grozą kary gardłowej, zakazał straży przedniej brania jeńców. W końcu konieczna okazała się interwencja Xiphosa, który ostro przywołał do porządku młodego oficera. Niestety, spowodowało to przesadę idącą w drugim kierunku. Co prawda informacje zaczęły sypać się jak z rękawa, lecz metody, które Vírýllio stosował do ich zdobywania... Stary namiestnik dziękował Bogom, że eskortowani cywile nie mieli pojęcia,

co część chroniących ich żołnierzy wyprawia z wziętymi do niewoli rebeliantami. Nie miał zamiaru go za to ganić, ani teraz, ani w przyszłości. On sam, gdy przychodziło do starć, ścinał wrogów własnym kopytem, nakazując bezlitośnie dorzynać rannych oraz jeńców – kolumna nie mogła jeszcze bardziej zwalniać tempa marszu z ich powodu. Szli i tak już niemal dwukrotnie dłużej, niż normalnie zajmowała ta droga. Niestety, ciągle potyczki, zasadzki i blokady budowane na trakcie, straszliwie ich spowalniały.

Jedyną dobrą wiadomością, był brak zdecydowanego pościgu. Wyglądało na to, że grupa straceńców, którzy zostali w Zafeíropolis, wyjątkowo długo stawiała opór wojskom wroga. W chwilach bezzasadnego optymizmu miał nadzieję, że jeszcze się trzymają, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, iż jest to klasyczny przykład pobożnego życzenia. Przy takiej przewadze i zdradzie większości mieszkańców, wszyscy ci żołnierze musieli być już dawno martwi. Wiedział, że nigdy sobie nie wybaczy zostawienia ich na pewną śmierć, ale musiał wypełnić swój obowiązek wobec tych, których dało się jeszcze uratować. Teraz jednak, nie mógł myśleć o tych, którzy do końca walczyli i umierali na trupie tego, co jeszcze tydzień wcześniej było jego ukochanym miastem. Powtarzał to sobie za każdym razem, kiedy widział niecały tysiąc kucyków, wlokących się noga za nogą, do zbawczych brzegów jeziora.

Raz jeszcze przeklął w duchu. W czasie pierwszych dwóch dni stracili niemal połowę pierwotnie uratowanych, z czego większość poległych, stanowili cywile. Początkowe ataki powstańców były całkowitym zaskoczeniem, a na dodatek sprzyjało im szczęście. Przepuścili przednią straż, a sami uderzyli na centralną kolumnę, którą opiekował się namiestnik Kechrimpári. Xiphos nie winił go jednak za poniesione straty – pomimo braku formalnego wyszkolenia, walczył razem z przydzielonymi mu siłami, niestety brak doświadczenia zrobił swoje. Zanim tylna straż starego namiestnika przyszła mu z pomocą, wróg wdarł się w środek szeregów, czyniąc prawdziwe spustoszenie wśród eskortowanych. Kolejne dni upływały podobnie, lecz teraz, w razie niebezpieczeństwa, wszyscy oprócz najciężej rannych chwyтали za broń. Naturalnie, w większości były to kije i kamienie, lecz czasami nawet taka parodia uzbrojenia uratowała niejedno życie. Za każdym razem, gdy ginął żołnierz, lub lepiej uzbrojony powstaniec, jego broń była podnoszona przez któregoś z cywili.

Xiphos nie potrafił zrozumieć, co rebelianci chcą osiągnąć, dopuszczając się takich potworności. Przecież wielu z tych, których zabijali, było ich sąsiadami i znajomymi – wyglądało to niemal tak, jakby opanowała ich niedająca się ugasić żądza krwi. Często rzucali się nawet na przygotowanych do obrony żołnierzy z prawdziwą pogardą śmierci. Nie przejmowali się własnym losem; obchodziło ich jedynie zabijanie tych, których z jakiegoś powodu uznali za swoich śmiertelnych wrogów. Za każdego zabitego żołnierza, płacili kilkoma trupami po swojej stronie, ale to nie zniechęcało pozostałych, przynajmniej na samym początku ucieczki. Po trzech dniach namiestnik zauważył, że nieprzyjaciel stał się jakby ostrożniejszy, wykazując przy tym zdecydowaną niechęć do samobójczych szarż. To wszystko pozwoliło wnioskować, iż dziwne zachowanie powodował Sombra.

Kiedy Xiphos podzielił się swoimi przemyśleniami z Kechrimpárim, ten niemal go wyśmiał. Namiestnik Elektron Akti w swoim czasie odwiedzał Equestrię w misjach dyplomatycznych, i niejednokrotnie widział potężną magię w działaniu, nie omieszkął więc wyrazić fachowej opinii:

– To absolutnie niemożliwe, szanowny Xiphosie – w słowach młodszego namiestnika brzmiała niezachwiana pewność. – Nie wiem, czy same władczynie Equestrii byłyby w stanie samodzielnie dokonać takiej sztuki.

– Jakże to tak? – stary urzędnik uniósł brew, zdumiony. – Wszak ich moc jest legendarna, skoro podobno unoszą Słońce i Księżyc.

– Też tak kiedyś myślałem, szanowny namiestniku – na zmęczonej twarzy Kechrimpárego pojawił się cień uśmiechu. – W swoim czasie interesowałem się teorią magii, a jeden z najsłynniejszych wykładowców tej sztuki był na tyle uprzejmy, że uchylił rąbka tajemnicy.

– Wybacz, że pytam, przyjacielu – jeszcze tydzień temu stary kucyk nigdy nie zwróciłby się tak do swojego rozmówcy, jednak próba, na jaką zostali wystawieni wiele zmieniła. – ale dlaczego w ogóle zajmowała cię magia? Przecież wiesz, że jest to dla nas sztuka niedostępna, gdyż brak nam odpowiedniego... – Xiphos znacząco zawiesił głos – ...wyposażenia.

– Cóż słyszysz? Ktoś tutaj gustuje w klaczach z rogiem na czole? Czyżbym miał zaraz usłyszeć niejedną historię o dawnych, opisywanych w kronikach podbojach miłosnych? – Kechrimpári błysnął zębami w złośliwym uśmiechu.

– Nie pozwalaj sobie, młokosie – Xiphos bezwiednie dostosował się do familiarnego tonu rozmówcy. – Jeżeli uważasz, że tylko arystokraci z urodzenia wiedzą jak uwodzić damy to znaczy, że w którejś potyczce musiałeś zainkasować poważny cios w czaszkę. Wiedz, iż mógłbym cię jeszcze niejednego nauczyć.

– Nie wątpię, gdyż z pewnością jesteś ekspertem od skutecznego a delikatnego ogłuszania wybranki maczugą i znasz wiele ustronnych jaskiń – w tym momencie, jedynym dokładnym określeniem szerokiego uśmiechu młodszego kuca było „suszenie zębów”. – Muszę jednak z żalem stwierdzić, że te metody uwodzenia wyszły z mody mniej więcej półtora tysiąca lat temu. Skoro dysponujesz takimi doświadczeniami, to przyznaję, iż jesteś w doskonałej formie, jak na żywą skamielinę.

Namiestnicy przez chwilę mierzyli się wzrokiem, lecz nie udało im się zachować powagi. Już po chwili obaj parsknęli serdecznym śmiechem. Fakt – ich sytuacja była niewesoła, jednak obaj potrzebowali tej chwili odprężenia. Bezustannie utrzymywana czujność, zjadała ich nerwy w błyskawicznym tempie, i gdyby nie takie przekomarzania, już dawno rzuciliby się sobie do gardeł.

Niestety, takie chwile nie trwały długo.

– Żarty na bok, przyjacielu – spoważniał Xiphos – powiedz proszę coś więcej o tej

magii.

– Jak sobie życzysz – westchnął Kechrimpári i w zamyśleniu stuknął kilkakrotnie kopytem o ziemię. – Zainteresowanie było czysto prywatne. W swoim czasie byłem zafascynowany możliwościami, jakie daje ta sztuka, więc skorzystałem z okazji by dowiedzieć się o niej czegoś u źródła. Poza tym... – zawahał się, jednak po niemal niezauważalnej przerwie kontynuował. – Co prawda nie wiem, co o mnie pomyślisz, ale myślałem o potencjalnych korzyściach, jakie mogłaby przynieść mi w polityce. Niezbyt to chwalebne, ale skoro pomysł został zarzucony... Mówiąc krótko i zwięźle, interesowały mnie aspekty kontroli umysłów. Wnioskując z tego, co mówili moi rozmówcy, jest to sztuka wyjątkowo trudna, wymagająca niesamowitego skupienia i subtelności. Gdyby ten Sombra był do tego zdolny, oznaczałoby to, iż jest prawdopodobnie silniejszy od obu Królewskich Sióstr. Widzisz więc, że pomysł, by to on kontrolował w jakiś sposób umysły tych straceńców jest co najmniej niedorzeczny.

– Masz rację – stary namiestnik zmarszczył czoło, myśląc intensywnie. – Jednak jeżeli nie magia, to co? Co powoduje, że spokojni mieszkańcy rzucają się do samobójczych ataków na nasze siły?

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, przyjacielu – tym razem Kechrimpári zamyślił się na chwilę. – Zawsze istnieje możliwość przekupstwa, choć to niezbyt prawdopodobne. W końcu gdy cię przekupią, chcesz mieć szanse wydania zarobionych pieniędzy, a to bywa problematyczne, gdy ktoś wrazi ci miecz prosto w serce. Oczywiście zawsze istnieje opcja, że po prostu natchnął ich normalnymi słowami. Nie, nie pryčaj mi tu, Xiphosie. Pomimo sprawowania urzędu namiestnika w głębi serca pozostałeś żołnierzem. Ja jestem politykiem i wiem, że słowa to broń, która może być potężniejsza od największej nawet armii.

– Sądzisz, że mieszkańcy daliby się aż tak ogłupić? – Xiphos pozostał sceptyczny. – Przecież to musiałoby zająć miesiące, o ile nie...

– Lata? – uprzejmie zapytał Kechrimpári. – Spójrzmy prawdzie w oczy, przyjacielu. To powstanie nie zostało przygotowane wczoraj. Sądzę, że przygotowania mogły trwać latami, a ilość złota, jakie przeszło z kopyt do kopyt musiała być wprost niewyobrażalna. Daj mi skończyć, proszę – powiedział szybko, widząc, iż starszy namiestnik zbiera się do protestowania. – Pomyśl, Xiphosie. Maszyny oblężnicze, broń, kolejne ogniska rebelii pojawiające się tak, żeby ułatwiać zwycięstwo rebeliantom. Jeżeli uważasz to wszystko za przypadek, to chętnie sprzedam ci most na jakiejś nieistniejącej rzece. No i w końcu ten Sombra. Wiesz, że słabo się wyznaję na sprawach wojskowych, ale powiedz szczerze. – Trajkoczący polityk zrobił krótką przerwę dla nabrania tchu. – Uważasz, że to jakiś samorodny talent? Że ot tak, z niczego wie jak planować, walczyć i zwyciężać?

– Masz rację – ciężko westchnął stary urzędnik. – Chciałbym żebyś się mylił, ale większość tego co mówisz brzmi aż nadto sensownie. Pozostaje tylko pytanie, gdzie byli nasi szpiedzy, no i czy ktoś za nim nie stoi... – Wyglądało na to, iż popadanie w gorzką zadumę stawało się normalnym punktem dnia dla starszego kucyka.

– Equestria? Królestwo Gryfów? – głośno zastanawiał się Kechrimpári. – Bo chyba nie podejrzewasz tych młodych państw? Prance i Germaneigh leżą dosyć daleko, no i nigdy

nie mieliśmy z nimi żadnych zatargów.

– Królestwo Gryfów zdecydowanie wykluczam. Gdyby to byli oni, to uderzyliby sami, nie bawiąc się w jakieś podchody. Na pewno spotkałeś się z twierdzeniem, że jedyną rzeczą sztywniejszą od ceremoniału dworu bazyleusa jest wojenny kodeks honorowy gryfów.

– Xiphos zaśmiał się niewesoło. – Poza tym, choć ciężko mi o tym mówić, są od nas silniejsi, no i potrafią latać. Nam ta sztuka jest obca, więc mogliby szybko osiągnąć zdecydowaną przewagę. Nie mówię, że udałoby im się wygrać łatwo, bo i my posiadamy w arsenale sporo ciekawych sztuczek, ale zwyciężyliby niemal na pewno. Co do Prance i Germaneigh, masz całkowitą rację. Nie dość, że są oddalone, to jeszcze nawet osłabieni rebelią poradzilibyśmy sobie z ich wojskami.

– Zostaje więc... Equestria – cicho mruknął polityk. – A fakt, że przywódcą rebelii jest jednorożec zdaje się to potwierdzać. Chociaż z drugiej strony... – Kechrimpári przez chwilę obracał w głowie nowo obmyśloną konstrukcję logiczną. – Nie, to się nie trzyma kupy. Po pierwsze w porównaniu z nami są niemal wszechpotężni, a po drugie, nigdy nie byli nastawieni na ekspansję. No i wiele można powiedzieć o Królewskich Siostrach, ale na pewno nie to, że są głupie.

– Znowu wygląda na to, że masz rację i znowu ciężko wypowiedzieć mi słowa prawdy. Gdyby Equestria chciała nas zniszczyć, to nie sprawiłoby im to większego problemu. Nawet Kryształowe Serce nie oparłoby się mocy Królewskich Sióstr, a bez niego roznieśliby nas w pył. Skąd o tym wiem? – Zapytał, widząc, jak brwi przyjaciela unoszą się w zdumieniu. – Nie, nie interesowałem się nigdy magią, ale przez jakiś czas miałem przydział do sztabu. Myślisz, że nie rozważaliśmy tam różnych opcji strategicznych? W życiu byś nie uwierzył, jak wrednie innowacyjni potrafili być nasi planiści. Co prawda większości rzeczy nie wprowadzano w życie, ale plany są niemal na każdą okazję.

– Skoro macie zaplanowane tak wiele scenariuszy, to nie powiesz mi chyba, że zapomnieliście o możliwości wielkiego powstania – zaczepnie rzucił Kechrimpári. – W końcu to poważne i stałe zagrożenie, czyż nie?

– Na taką okoliczność plan był prosty – Xiphos nie dał się sprowokować. – W przypadku ogólnokrajowej rebelii miasta miały się bronić i czekać na odsiecz regularnej armii, ewentualnie wspomagając się wzajemnie. Niestety nie przewidzieliśmy kogoś takiego jak Sombra. Poza tym – dodał – z pewnością niejednokrotnie słyszałeś żarty o skostnieniu naszych sił zbrojnych. Niestety planiści, jak innowacyjni by nie byli, nie odpowiadają za wcielenie w życie swoich pomysłów. A z tego, co pamiętam najwyższe dowództwo, to przeważały tam typy zdecydowanie... zaskorupiałe. – Xiphos westchnął i spojrzał na swojego młodszego przyjaciela. Choć nie zdarzało mu się to często, postanowił zapytać go o coś, co nie dawało mu spokoju. – Mam takie pytanie...

– Słucham cię, Xiphosie.

– Jakim cudem możesz zachowywać taką pogodę ducha w obliczu wydarzeń, których jesteśmy mimowolnymi świadkami? Nawet kiedy coś cię zaskoczy, otrząsas się z tego błyskawicznie i po chwili znowu mam przed sobą nieco cynicznego polityka ze skłonnością do wysoce irytujących stwierdzeń. Możesz mi to wyjaśnić?

– Taaak. W sumie muszę powiedzieć, że jestem zdziwiony – Kechrimpári parsknął

śmiejem widząc wyraz kompletnego niezrozumienia rodzący się na twarzy starego namiestnika. – Już uściślam. Zaskoczyło mnie, że tak długo zwlekałeś z zadaniem tego pytania. W sumie to żadna tajemnica – westchnął – to cecha nabyta. Nie da się wykazywać skutecznością w polityce, jeżeli nie umie się odpowiednio skrywać swoich uczuć, ot i wszystko. No i co robisz taką zdziwioną minę? – zapytał, wręcz przejawiając swoją manierę kpiarskiego mówienia. – Jesteś żołnierz, nie polityk, to się nie znasz na takich sztuczkach.

– Zaraz ci pokażę, na jakich się znam – burknął rozbawiony Xiphos – Ten oto miecz...

– Szanowny namiestniku! Szanowny namiestniku!

Nagły krzyk zwrócił uwagę rozmówców. Od strony straży przedniej pędził ku nim dekarchos¹ z podległymi mu żołnierzami. Wszyscy wyglądali na zdyszanych, jednak czujny wzrok namiestnika nie stwierdził u nich śladów niedawnej walki. Rozpoznał w podoficerze jednego z dowódców przydzielonych do straży przedniej. Najwyraźniej katepánō Vírýllio z jakiegoś powodu postanowił dodatkowo wzmocnić kolumnę dziesiątką żołnierzy.

– Cóż się stało, żołnierzu? Jakież wieści od dowódcy straży przedniej?

– Tak jest, szanowny namiestniku – pomimo niewątpliwego wyczerpania, podoficer trzymał się nieźle. Zdołał nawet zadbać o swój wygląd, zanim stanął przed naczelnym dowódcą. – Katepánō Vírýllio przesyła pozdrowienia i przekazuje, iż widać już Elektron Epíneo...

– Powiedźcie wszystko, dekarchosie. Widzę przecież, że coś w sobie dusicie.

– Rozkaz, szanowny namiestniku – żołnierz nerwowo przełknął ślinę. – Na przedpolu przystani trwa walka. Rebelianci starają się dostać na nadbrzeże. Póki co jeszcze ich powstrzymują, ale nie wiadomo jak długo to potrwa. Nasz dowódca chce odciążyć obrońców, uderzając na tyły buntowników.

– I zostawić nas bez straży przedniej. Taaak – Xiphos przez chwilę wpatrywał się w twarz żołnierza, a potem rzucił okiem na młodszego namiestnika. Kechrimpári wyglądał, jakby nie był zachwycony takim rozwiązaniem, jednak nie zaprotestował. – Czy katepánō jest pewny, że poradzi sobie z oblegającymi?

– Tak, szanowny namiestniku – z głosu dekarchosa przebijała niezachwiana pewność.

– Dowódca kazał przekazać, że siły napastników są najwyżej trzykrotnie liczniejsze, a na całej drodze nie ma miejsca, gdzie mogliby zorganizować zasadzkę.

– No cóż... – zanim Xiphos zdołał wyartykułować jakąkolwiek odpowiedź, z tyłu dobiegł go kolejny okrzyk.

– Szanowny namiestniku! Szanowny namiestniku! – krzyczał kentarchos², jeden z dwóch zastępujących Xiphosa, gdy ten wybierał się na inspekcję pozostałych części kolumny.

– Cóż to ma znaczyć? – stary namiestnik groźnie zmarszczył brew. Nie podobało mu się, że oficer przybiegł do niego, zamiast wysłać kogoś niższego rangą. Na dodatek wyraźnie powiedział im, że do jego powrotu mają zostać na miejscu, a to już oznaczało poważne

¹ Dziesiątnik w armii Cesarstwa Bizantyjskiego.

² Odpowiednik centuriona (setnika) w armii Cesarstwa Bizantyjskiego.

naruszenie dyscypliny. Nie było to coś, co stary żołnierz mógł aprobować czy choćby znosić. – Czy nie wyraziłem się dostatecznie jasno, wydając rozkaz, mości kentarchosie? Czyżbym mówił w jakimś innym jęz...

– Przepraszam, szanowny namiestniku, ale to nie może czekać! – wszyscy stojący w pobliżu gwałtownie wciągnęli powietrze, będąc świadkami absolutnie bezprecedensowej sytuacji. Okoliczności mogły usprawiedliwiać różne zachowania, ale żeby podwładny przerywał zwierzchnikowi? Wyglądało na to, że kentarchos właśnie zdecydował się cofnąć swoją karierę do najniższego możliwego stopnia. Zanim jednak Xiphos zdążył wybuchnąć słusznym gniewem, nieszczęsny oficer kontynuował. – Czujka, której kazał pan zostać z tyłu przysłała wiadomość. Nadciągają.

Stary namiestnik zamarł, niczym rażony piorunem. Niesłychana niesubordynacja i bezczelność oficera natychmiast poszła w zapomnienie w obliczu takich wieści. Naturalnie nie musiały one oznaczać jeszcze całkowitej katastrofy. Obserwatorzy, o których była mowa, stacjonowali na niezbyt odległym wzgórzu, z którego mieli wgląd na całą, otoczoną niewielkimi pagórkami dolinę, stanowiącą najlepszą drogę do ich celu. Wróg mógł się znajdować na samym jej początku, co dawało im całkiem sporo czasu. Niemniej jednak musiał zmienić swój początkowy zamiysł. Teraz wszystko zależało od szybkości... i szczęścia.

– Nie ma czasu do stracenia – mruknął stary urzędnik, po czym przystąpił do wydawania rozkazów. – Kentarchosie, wrócisz natychmiast na tyły, wezmiesz dwudziestu żołnierzy i ruszysz do naszej czujki. Obserwujcie wroga najdłużej jak się da, ale nie dajcie im się ogarnąć. Oczekuję regularnych i dokładnych raportów. Resztę straży tylnej przyslij tutaj. – Oficer przyłożył kopyto do piersi i pognął z powrotem, nie mogąc uwierzyć, że nie dostało mu się za przerwanie starszemu rangą. – Dekarchosie, zabierz ze sobą trzydziestu żołnierzy oprócz twojej dziesiątki i pędźcie do katepánō Vırýllio. Ma uderzać natychmiast i rozbić powstańców broniących nam przystępu do przystani. – Również podoficer zniknął z prędkością jakiej nie powstydziliby się wyścigowy pegaz. – Kechrimpári, dla ciebie też mam zadanie. Ruszaj do cywilów i wytłumacz im dlaczego muszą zostawić wszystko oprócz najlżejszych i najniezbędniejszych rzeczy. Jak tylko dołączy do nas tylna straż, ruszymy najszybciej jak się da w stronę celu.

– Czy to rozsądne, Xiphosie? Będziemy szli jedną grupą bez żadnego ubezpieczenia z tyłu. Nie jestem wojskowym, ale nie wydaje mi się to najmądrzejszym postępowaniem.

– Bo i nie jest mądre, ale nie mamy wyboru. Teraz całą naszą nadzieją jest szybkie przybycie floty. Miejmy nadzieję, że Akouamarínis nie skrewi...

Crystalopolis

18 czerwca 3 roku panowania Króla Sombry (1456 rok istnienia Cesarstwa)

Mieliśmy... to znaczy, obaj namiestnicy mieli słuszne obawy dotyczące Megaduxa. Pozwolę sobie przybliżyć nieco sylwetkę tej postaci, ażeby szanowni czytelnicy mieli niejaki pojęcie, jakie indywiduum dowodziło flotą w ostatnich dniach Krystallina Autokratorias.

Megadux Akouamarínis był członkiem jednego z najstarszych rodów naszego Cesarstwa, od zawsze blisko związanego z brzegami Límni Margaritári. Ta sytuacja nie powinna dziwić, zważywszy na krociowe zyski, które ciągnęli z handlu i opłat celnych za towary transportowane po wodach jeziora oraz wpadających do niego rozlicznych rzek. Przez lata istnienia Cesarstwa w jego rodzie zrodziło się wiele znakomitych kucyków, niejednokrotnie zaliczanych do najznamienitszych obywateli, odznaczających się niegasnącą wiernością do rządzących bazyleusów. Wielu z nich posiadało niespotykane połączenie przymiotów ciała i umysłu, umożliwiające im służbę na wszelkich polach dla dobra, jak i rozwoju Cesarstwa. Niestety ówczesny Megadux nie mógł poszczycić się wzmiankowanymi wcześniej zaletami.

Był to kucyk znany ze swej niepospolitej siły i odwagi, ale również z gigantycznego niezdecydowania oraz przysłowiowych kłapek na oczach. Co nie powinno dziwić, to właśnie te cechy przyczyniły się do tego, iż jego imię na wieki związało się z najbardziej haniebną porażką, jaka kiedykolwiek stała się udziałem floty Krystallina Autokratorias.

Dlaczego tak się stało? Niech szanowni czytelnicy zechcą wyobrazić sobie dowódcę floty, który podjąwszy jedną decyzję, co zwykle zajmowało mu niewiele mniej czasu, niż wypiętrzenie średniej wielkości łańcucha górskiego, trzyma się jej z uporem, którego nie powstydzilby się żaden mieszkaniec Hegemonii Mułów, parł przed siebie z siłą i mocą lawiny. Szkoda tylko, że jego umysł nie miał wolnych zasobów na coś takiego, jak improwizacja oraz dostosowywanie planów do nowo odkrytych okoliczności. Bezspornym faktem jest, iż jego dzika odwaga zwykle wystarczała, by przebić się przez wszystko, co stało mu na drodze, jednak w tamtej chwili przewrotny los postawił przed nim przeciwnika bystrego i elastycznego.

Przykro mi się do tego przyznawać, jednak moja wiedza o nawodnym aspekcie tamtej wojny nie jest zbyt rozwinięta. Udało mi się zebrać wiele opowieści, jednak część z nich została odrzucona, gdyż w sposób widoczny nie pokrywała się z faktycznymi wydarzeniami. Niemniej jednak z wszystkich dostępnych źródeł udało mi się wykroić dosyć prawdopodobny obraz wydarzeń.

Límni Margaritári

8 maja 1453 roku istnienia Cesarstwa.

Drungarios³ Kýma z marsem na czołe obserwował oddane mu pod dowództwo dromony⁴. Zaledwie pół tuzina tych szybkich, doskonale uzbrojonych jednostek płynęło przed konwojem dwudziestu *Kametera Karavia* – potężnych, choć wolnych okrętów, służących zwykle do transportu wojska i machin oblężniczych. Słowem kluczem było tu „zwykle”. W

³ Wysoki stopień oficerski we flocie Cesarstwa Bizantyjskiego. U mnie dowódca eskadry wydzielonej.

⁴ Najpowszechniej występujący rodzaj żaglowej galery wojennej we flocie Cesarstwa Bizantyjskiego.

obecnej chwili miały zdemontowane uzbrojenie, a połowę z nich zapchano po sam szczyt burt doskonale wyposażonymi żołnierzami. Oficer z bólem serca obserwował ich załadunek, zdając sobie sprawę, że nie mają praktycznie żadnych szans na przeżycie. Wszyscy zgłosili się na ochotnika do powstrzymania naporu wroga, kiedy ten uderzy na przystań, nie chcąc, by wymknęli mu się złapani w pułapkę cywile. To był główny powód, dla którego na ten rejs przydzielono najsilniejszych i najbardziej doświadczonych wioślarzy. Pośpiech był absolutnie konieczny. Gdyby tylko głównodowodzący nie zdecydował się na tak durny sposób wykonania rozkazu...

Klątwy, jakie w duchu sypał drungarios na swojego przełożonego były w pełni uzasadnione. Któż bowiem widział, żeby w sytuacji takiego zagrożenia podzielić flotę i z większą jej częścią ruszyć pełną prędkością na północ, gdzie podobno również doszło do aktów rebelii. Fakt – mieszkańcom należało pomóc, jednak w sposób przemyślany. Wszystkie osiem dromonów, wraz z najpotężniejszym okrętem floty klasy *Chelandion*, nie były w stanie zabrać na pokład wielu uciekinierów. Nie wspominając już o tym, że tamtejsze kuczki mogły o wiele szybciej uciekać drogą lądową, gdyż od głównych sił powstańców dzieliła ich spora odległość, a do stolicy nie było tak znowu daleko. Pomimo tych faktów, Megadux zdecydował wydzielić ponad połowę bojowych jednostek floty i poprowadził je na północ pod swoim osobistym dowództwem. Na cokolwiek beczelne pytanie Kýmy co do tego, jak chce pokonać buntowników, nie dysponując siłami lądowymi, zareagował pogardliwym prychnięciem. Widać było, że nie dopuszcza do siebie żadnej wersji wydarzeń, która nie kończy się jego chwalebnym zwycięstwem. Drungarios miał tylko nadzieję, iż ten zakuty łeb nie zdecyduje się zakotwiczyć w przystani jednego z tamtejszych miast, żeby wspomóc jego obronę.

Kýma nerwowo podgryzł wąż, jeszcze chwilę rozmyślając o możliwych następstwach nierozsądnego postępowania Megaduxa. W końcu doszedł do wniosku, że zamartwianie się rzeczami na które nie ma wpływu w niczym mu nie pomoże, a sam też miał się czym przejmować. To był już drugi wysłany konwój ewakuacyjny, a wieści, które oprócz uchodźców przywiózł pierwszy, nie nastrojały optymistycznie. Wyglądało na to, że cały kraj ogarnęło prawdziwe szaleństwo. Drungarios nie wiedział dlaczego powstanie wybuchło z taką siłą. Tak, jak każdy szlachcic, był świadom pewnych nadużyć, jakich dopuszczali się niektórzy urzędnicy, ale nie było to zjawisko na tyle powszechne, żeby doprowadzić do ogólnopañstwowej rebelii.

Oficer zachnął się, kiedy jego umysł po raz kolejny zboczył na sprawy, których nie mógł rozwiązać mocnym uderzeniem tarana. Ruszył przez pokład, przyjmując saluty od członków załogi, kierując się w stronę *xylokastronu*. Sprawnie wspiał się po kilkunastu rozkładanych schodkach i stanął na szczycie nadbudówki. W następnej chwili, tylko łut szczęścia uratował go od podskoczenia na wysokość najwyższego masztu. Pomimo kilkumiesięcznej wspólnej służby nie zdołał przywyknąć do bezgłośnego poruszania się

ekatontarchosa⁵ Serfárete, dowodzącego jego okrętem flagowym.

– Piękny dzień na żeglugę, szanowny drungariosie – konwersacyjnym tonem rzucił Serfárete. – Jeżeli taka pogoda się utrzyma i wiatry będą dopisywały, już za cztery dni dopłyniemy do Elektron Epíneio.

– Cztery dni, cztery dni... – powtórzył Kýma, patrząc w zamyśleniu na swojego rozmówcę. Jego niegdyś skrząca sierść i grzywa, obecnie lekko zmatowiała, na skutek nieustannego wystawiania jej na działanie wody i wiatru, a siwa, starannie utrzymana broda, nadawała mu wygląd stereotypowego wilka morskiego. Kiedy jeszcze sięgał po swoją nieodłączną fajkę, drungarios czuł się, jakby trafił na stronie książki opisującej przygodę dawnego kapitana piratów. Jeżeli chodzi o doświadczenie żeglarskie, to nie było mu równego w całej flocie Krystallina Autokratorias. Jeśli twierdził, że podróż zajmie cztery dni, to właśnie tak było, choć nie musiało podobać się to jego oficerowi flagowemu. – Trochę długo... tak, tak, wiem ekatontarchosie, że nie da się przyspieszyć tych przeklętych kryp. – Drungarios wskazał ociężałe *Kametera Karavia*, które niemal dwukrotnie spowalniały jego śmigłe dromony. – Gdyby to ode mnie zależało, w ogóle nie brałbym tych żołnierzy, którzy nimi płyną. Nie dość, że wszyscy najprawdopodobniej zginą, to jeszcze solidnie obciążają wszystkie i tak powolne jednostki.

– Ale mogą być wariaci swojej wagi w złocie, jeżeli okaże się, iż wróg będzie chciał przeszkodzić w załadunku uchodźców, Kýmo – tym słowom towarzyszyło pyknięcie z fajki. Dowódca spojrzał na niego bykiem, lecz dotyczyło to jedynie treści, a nie formy wypowiedzi. Już po miesiącu wspólnej służby zaproponował, by jego ektontarchos zwracał się do niego po imieniu, przynajmniej kiedy w pobliżu nie było nikogo, kogo taka poufałość mogła urazić. – Skoro nie możesz nic na to poradzić, to może... nie. Na pewno przygotowałeś już plany na każdą ewentualność, łącznie z taką, iż czeka nas spotkanie z batalionem smoków. Może po prostu wykorzystaj ten spokojny czas na trochę relaksu? Na nic się nam nie przydasz, jeżeli wykończysz się przed dopłynięciem na miejsce. Spójrz jak dzisiaj jest pięknie. Pływam dłużej niż ty żyjesz, ale muszę powiedzieć, że nigdy nie widziałem naszego kochanego Límnī Margaritári w tak... uroczej szacie i spokojnym nastroju. – Serfárete jak zwykle wyrażał się o jeziorze, jakby było ono żywą istotą.

Drungarios już miał się zachnąć, kiedy dotarło do niego, że stary marynarz ma całkowitą rację. Sam spędził sporo czasu na wodzie, i nigdy nie dane mu było ujrzeć zbiornika wodnego tak cudownym. Lekka bryza tworzyła niewielkie fale, których szczyty miały kolor płynnego złota, w ostatnich promieniach zachodzącego powoli słońca. Delikatne skrzypienie lin, okazjonalne łopotanie żagla, miarowe uderzenia w bęben i plusk regularnie zanurzanych wiosł, były kontrapunktowane przez przenikliwe wrzaski mew towarzyszących okrętom. Kýma uświadomił sobie, iż zarówno smukłe dromony, niemal ślizgające się po falach, jak i pękate transportowce, rozbijające je swoimi masywnymi dziobami, budzą w nim uczucie niedającej się okiełznać dumy, z dowodzenia tak pięknymi dziełami sztuki szkodniczej.

⁵ Stopień przynależny dowódcy okrętu we flocie Cesarstwa Bizantyjskiego.

Spojrzał z wdzięcznością na dowódcę okrętu, który wydawał się tego zupełnie nieświadom, bezustannie omiatając wzrokiem to horyzont, to stan pokładu, w poszukiwaniu jakichkolwiek uchybień. Nie miał szans na znalezienie żadnych – jak zwykle sam doglądał wszelkich przygotowań przed wyruszeniem w rejs. Drungarios, jako szlachcic, ukończył prestiżową Akademię Marynarki Wojennej, a przez to zawsze podziwiał starego wilka morskiego, który do swojego stanowiska, doszedł sam. Zaciągnął się jako prosty wioślarz, i tylko swoim zdolnościom, oraz zdrowej dawce uporów, zawdzięczał regularne awanse na coraz wyższe stanowiska. Brał udział w niemal każdej bitwie i potyczce stoczonej w ciągu ostatnich czterdziestu lat, a każda z nich, jak i licznych przygód, zostawiła po sobie trwałe ślad. Krążyło masę opowieści o jego wyczynach, a pewna szczególnie uporczywa plotka głosiła, że dwukrotnie odmówił przyjęcia tytułu szlacheckiego z kopyt ojca obecnego bazyleusa. Kýmą, który miał nienasycony apetyt na wszelkiego rodzaju niesamowite opowieści, poświęcił sporo czasu i niebagatelną ilość złota, zanim ze zdumieniem odkrył, iż w tym wypadku, pogłoski całkowicie odpowiadały prawdzie. Nie chodziło o to, że Serfárete nie lubił arystokratów – wręcz przeciwnie, zawsze się z nimi dogadywał bez większych problemów. Obawiał się jednak, że uszlachcenie odbierze mu to, co ukochał najbardziej, czyli dowodzenie swoim własnym okrętem. Nic jednak nie mógł poradzić, kiedy bazyleus Kando, czternasty tego imienia, uparł się, by ze swojego najlepszego kapitana uczynić arystokratę. Udało mu się wytargować tyle, że miał zapewnione dowództwo okrętu dopóki sam nie zdecyduje się osiąść na brzegu, na przykład jako zarządca jednego z większych portów Cesarstwa.

Oficer uśmiechnął się w duchu, lecz jego dobry humor zaraz przygasł, gdy przypomniał sobie o jednej ważnej kwestii. Żaden z dromonów floty nie dysponował obecnie płynnym ogniem, więc jedyną broń dystansową jaką mieli na pokładach, stanowiły rozmieszczone tu i ówdzie *toxovolistres*. Oficjalnym powodem było to, że również bojowe jednostki miały zostać użyte do ewakuacji, a przy dużej liczbie cywilów o tragiczny wypadek było naprawdę nietrudno. Na szczęście jego protokaravos⁶, mający smykałkę do działań kwatermistrzowskich, zdołał umieścić na pokładzie kilka *cheirosiphones*. Przynajmniej o tylu drungarios wiedział, a wzięty na spytki oficer, mający wyjaśnić jak rzeczona broń znalazła drogę na okręt, mówił o tym bardzo niechętnie i wielce ogólnikowo. Oficjalne tłumaczenie miało wyglądać tak, że jakiś stoczniowy pętał nieświadomie dostarczył nie ten ładunek co trzeba. Naturalnie Kýmą domyślał się, iż tego rodzaju ręcznych wyrzutni płynnego ognia jest na pokładzie znacznie więcej, ale na pewno nie miał zamiaru tego sam odkrywać, ani też pociągać nikogo do odpowiedzialności. W końcu słynął z zamięłowania do daleko posuniętej profilaktyki.

Crystalopolis

27 czerwca 3 roku panowania Króla Sombry (1456 rok istnienia Cesarstwa)

Po raz kolejny zmuszony byłem przerwać pracę twórczą, i chwilowo zniknąć w jednej z

⁶ Nadzorca wioślarzy na okręcie.

moich przygotowanych zawczasu kryjówek. Siepacze uzurpatora są wyjątkowo skuteczni w wyszukiwaniu wszystkich niezadowolonych z jego rządów, a nikt nie wie co dzieje się z kucykami, które zaciągają do pałacowych lochów. W każdym razie nikt stamtąd nigdy nie wrócił, by dać świadectwo tego, jakie bestialstwa muszą tam być odprawiane.

Dla mnie największą niedogodnością jest fakt, iż w sferę ich zainteresowania można wpaść całkowicie przypadkowo, niezależnie od tego, co się robi. Nie mam jednak złudzeń. Jeśli, a raczej kiedy mnie w końcu dopadną, słowa, które tu zapisuję, zaciągną mi kamieniem na szyi i bez wątpienia będą wystarczającym dowodem, na skazanie mnie na śmierć za zdradę stanu. Nie, żeby teraz zajmował się takimi kwestiami tak kapryśny urząd jak sąd. Jeszcze trafiłby się uczciwy i odważny sędzia, który mógłby zakwestionować któreś oskarżenie i co by było? Przecież nikt, kto jest wiernym poddanym Cesarstwa nie śmiałby napisać czegoś, co stawiałoby „naszego” pana i władcę w niekorzystnym świetle.

Po raz kolejny dałem się ponieść swojemu rozgoryczeniu, jak i niegasnącej rozpacz po utraconej przeszłości. Muszę się pilnować, gdyż choć przelewanie na papier tego rodzaju dywagacji sprawa mi niejako ulgę, dla czytelników spragnionych wiedzy o losach i czynach bohaterów kroniki, musi być zwyczajnie irytujące.

Nie tracąc więcej czasu, przechodzę więc do opisu haniebnej porażki, jaka stała się udziałem Megaduxa Akouamarinisa. Relacja będzie niestety niepełna, oraz gęsto przetykana kronikarskimi wtrętami, gdyż moja wiedza o tamtejszych wydarzeniach jest w najlepszym razie fragmentaryczna.

***Topázi Apováthra*⁷**

8 maja 1453 roku istnienia Cesarstwa.

– Szybciej! Wiosłować szybciej, na demony świata podziemnego! – ryk Megaduxa spokojnie mógł wydobywać się z paszczy w pełni wyrośniętego smoka. – Nie widzicie, że oni tam walczą?!

Popędzani marynarze mocniej naparli na wiosła, a ciężki okręt zaczął sunąć po falach nieco szybciej. Wściekły dowódca przebiegł na dziób, starając się ocenić czas potrzebny na dotarcie do celu. Jakby jednak nie liczył, wychodziło na to, że minie jeszcze kilka dobrych minut, zanim uda się dotrzeć do przystani. Niecierpliwie przytupując kopytem, przeklinał się w myślach, że wyraźnie zakazał dowódcom szybszych dromonów wyprzedzać okręt flagowy. Gdyby nie ta decyzja, pierwsze oddziały desantowe już schodziłyby na brzeg. Z drugiej strony, mogło to zadziałać na ich korzyść. Miejsca na nadbrzeżu było dosyć, żeby cała jego wzmocniona eskadra dobiła równocześnie, a jednoczesne wejście do walki czterystu doskonale wyszkolonych żołnierzy, mogło przynieść lepszy efekt, niż ataki pojedynczych załóg.

⁷ gr. Topaz Quay/Nadbrzeża Topazu

Akouamarinjs niepokoił się nieco brakiem osłony ruf swoich jednostek. Naturalnie jedynie dlatego, że tak nakazywał regulamin działań floty, który przed laty instruktorzy wbili mu w głowę. Przecież nie do pomyślenia było, żeby banda rebeliantów dysponowała czymkolwiek, co mogło zagrozić jego okrętom. Na samą myśl o tym parsknął z rozbawieniem, które błyskawicznie minęło, kiedy do jego uszu doszły kolejne okrzyki z niedalekiego już brzegu. Tym razem wiatr przyniósł również całkiem wyraźny trzask kusz i szczęk oręża. Wyglądało na to, że powstańcy sforsowali niskie mury ośrodka handlowego, a walka przeniosła się na ulice. Zacisnął szczęki w bezsilnej furii, rzucając wściekle spojrzenie ekatontarchosowi, który nawet tego nie zauważył. Był zbyt zajęty prowadzeniem okrętu, żeby zwracać uwagę na kogokolwiek, choćby był to jeden z najwyższych rangą oficerów w Cesarstwie.

Tu koniecznie muszę naświetlić czytelnikom, skąd brał się domniemany niepokój Megaduxa Akouamarinjsa. Topązi Apováthra wielokrotnie bywało nazywane perłą w koronie bazyleusa. Nie było wielkim miastem, lecz dzięki doskonałemu położeniu, zdominowało handel na całej północnej części Limni Margaritári. Wybudowane na brzegu głębokiej, otoczonej wzgórzami zatoki, wyróżniało się zarówno wspaniałą architekturą, jak i zapierającymi dech w piersiach widokami. Sam bazyleus często odwiedzał te rejony, a nad brzegiem wznosiła się jego letnia rezydencja. Niestety, cudowny krajobraz miał pewne wady z militarnego punktu widzenia. Zatoka, choć dosyć długa, nie należała do zbyt szerokich, a sama przystań znajdowała się za ostrym zakolem. Każdy myślący dowódca floty zostawiłby więc kogoś do pilnowania tyłów. Stwierdzam jednak z żalem i wściekłością w sercu, iż Akouamarinjs był zbyt zapatrzonej w próbę zdobycia sławy pogromcy rebeliantów, żeby pamiętać o tak prostej rzeczy. Lekceważenie przeciwnika zawsze się mści, jednak tym razem za pychę oraz głupotę głównodowodzącego, zapłacili zwykli żołnierze i marynarze. Niech jego imię na wieki pozostanie przeklęte!

Trapy rzucone na ląd skrzypiały pod ciężarem schodzących na nadbrzeże żołnierzy. Uzbrojeni w krótkie włócznie i toporki abordażowe, nosili niezwykle lekkie skórzane pancerze, co dyskwalifikowało ich w jakiegokolwiek walnej bitwie lądowej. We flocie było to normalne – w razie znalezienia się za burtą trudno pływać, kiedy jest się obciążonym solidną metalową zbroją. Specjalne nakładki, które nosili na kopytach, uniezależniały ich od starej szkoły walki, która zalecała trzymanie rękojeści broni krótkiej w zębach. Naturalnie miało to swoje minusy, jako że walka na trzech lub dwóch nogach wymagała niebagatelnej wytrzymałości, jak i doskonałego balansu, jednak ciągłe i częste ćwiczenia, pozwalały im osiągnąć przewagę nad niemal każdym przeciwnikiem.

Tuż za głównymi siłami postępowało kilkunastu kuszników dobranych z marynarzy. Ich zadanie było proste – mieli kierować uchodźców na odpowiednie okręty, strzelając przy tym do każdego buntownika, jaki pojawiłby się w zasięgu ich broni. Na pokładach ogłoszono stan najwyższej gotowości, a cała broń obrócona była na brzeg. Dowódcy poszczególnych

jednostek nie byli zadowoleni z braku płynnego ognia, ale w gruncie rzeczy nie uważali, że dojdzie do sytuacji, w której byłby im on niezbędny. Jedynie okręt flagowy, który zgodnie z wytycznymi miał zabrać na pokład co najwyżej kilkanaście kucyków, dysponował pełnym zapasem tej substancji, która już nieraz pozwoliła flocie Cesarstwa odnosić błyskotliwe zwycięstwa nad wrogami.

Megadux Akouamarínjs, odziany w kosztowną zbroję, ruszył na czele oddziału wprost ku najdonośniejszym odgłosom walki. Niestety pochód nie przypominał tego, jaki sobie wymarzył, wypływając w ten rejs. Okazało się, że jego podwładni muszą przedzierać się przez tłum zmierzających w stronę jego okrętów uchodźców. Złorzeczył pod nosem na to nieprzewidziane opóźnienie, ale nie zdecydował się na torowanie drogi przy użyciu siły. Widać było, że te kucyki wycierpiały już dość, a głównodowodzący po prostu nie miał serca przysparzać im dodatkowych ciężkich przeżyć. Na szczęście szczęk oręża niósł się coraz głośniej, co pozwalało mu mieć nadzieję, że już niedługo natknie się na siły rebeliantów, których rozpędzi ich na cztery wiatry. Spodziewał się, iż będą mieli przewagę liczebną, ale szczerze mówiąc, niewiele sobie z tego robił. Był pewien, że zdezorganizowany i kiepsko uzbrojony tłum, powinien być łatwym łupem nawet dla jego niezbyt dobrze wyekwipowanych do walki na lądzie desantowców. Mylił się.

Nagły atak nie został poprzedzony żadnym, choćby najmniejszym ostrzeżeniem. Nie wystosowano żadnego żądania kapitulacji. W jednej chwili oddział przesuwał się powoli przez tłum uchodźców, a w następnej, z okien otaczających ulicę wysunęły się kusze, i lawina bełtów spadła na zaskoczonych żołnierzy, czyniąc potężne spustoszenie w ich szeregach. W następnym momencie, wspomniani wcześniej „uchodźcy”, wyciągnęli z ukrycia własną broń, po czym rzucili się na zmieszany szyk desantowców floty. W powietrzu rozległ się świst pałek, błysnęły ostrza trzymany w zębach sztyletów. Tłum, z dzikim rykiem, rzucił się by dokonać rzezi. Wydawało się, iż rebeliantom udało się zastawić zasadzkę idealną, a z gardeł tych, którzy nie zakneblowali się swoją bronią, dobiegł zwycięski ryk. Przedwczesny.

Choć zostali przetrzebieni bełtami, jak i całkowicie zaskoczeni, żołnierze nie stracili ducha. Atak buntowników nadział się na zaporę zimnej stali, kiedy stojący na pierwszej linii, doskonale wyćwiczeni zawodowcy, dobyli swoich toporków abordażowych. To była naprawdę straszliwa broń w doświadczonych kopytach, a desantowcy stanowili elitę, której nieraz przyszło odpierać abordaże wrogich sił. Szybkie cięcia i ciosy obuchami, zdołały błyskawicznie ostudzić zapał atakujących. Tłuszcza cofnęła się, zostawiając pod nogami obrońców kilkadziesiąt nieruchomych ciał, co dało czas na włączenie się do walki włóczników, i już po chwili, kolumna zaczęła przypominać uczciwego jeża, kiedy w stronę rebeliantów wysunęły się głodne krwi ostrza.

Na czele kolumny ryczał wściekle Megadux Akouamarínjs, wywijając swoją ulubioną bronią. Był to ciężki topór, identyczny z tymi używanymi przez Gwardię cesarską. W jego potężnych kopytach obracał się niczym leciutka słomka, a każdy, kto ośmielił się do niego

zbliżyć, padał na ziemię niczym rażony piorunem. Pomimo bitewnego szału, jaki opętał dowódcę, ten był świadom, iż w jego kierunku nie wystrzelono żadnego beltu, a niemal każdy z usiłujących go zaatakować był uzbrojony w pałkę. Wyraźnie chcieli wziąć go żywcem, na co Akouamarinjs nie miał zamiaru im pozwolić. Jego krótka komenda sprawiła, iż desantowcy, pozostający dotąd w formacji obronnej, rozszerzyli swój krąg, rażąc każdego przeciwnika, jaki wszedł w ich zasięg. W tym wypadku niezbyt duża szerokość alejki działała na niekorzyść atakujących, którzy nie mieli gdzie uciec przed żadnymi zemsty żołnierzami. Groty włóczni i ostrza toporków zabarwiły się purpurą, kiedy kolani rebelianci oddawali swe życie, starając się wyszarpnąć przed śmiercią choć jednego z szeregów obrońców. Niewielu się to udało.

Megadux, widząc przewagi swych żołnierzy, wpadł w stan graniczący z euforią. Wydawało mu się, iż bez najmniejszego trudu zdołają oczyścić całe miasto z powstańczej hołoty. Tym rojeniom położyła kres kolejna salwa z kusz. Tym razem nie była tak celna, i tak skoordynowana, lecz dla słabo opancerzonych desantowców stanowiła odpowiednik ostrza kostuchy. Kolejni żołnierze padli na ziemię, a Akouamarinjs zorientował się, że z jego szeregów ubyla już ponad połowa kucyków. W tym tempie wystarczyło jeszcze kilka salw, żeby cały oddział został wybity do kopyta. Jediną szansą na uratowanie skóry było przebicie się na przystań. Rzucił stosowny rozkaz, a całość oddziału, przyczepiwszy włócznie do przeznaczonych na to haków na pancerzach, ruszyła w stronę okrętów, formując klin. Cztery dziesiątki zostały wyznaczone do powstrzymania tych buntowników, którzy tłumnie napływali z dalszych okolic miasta. Ci, którzy zostali, wiedzieli, że nie mają szans na przeżycie, lecz to jedynie wzmocniło ich wściekłość i determinację. Starając się unikać sypiących się z okiem beltów, położyli trupem wielu wrogów, zanim rozwścieczony tłum zmiotł ich z drogi samym swoim ciężarem. Zginęli co do jednego, lecz wykonali zadanie – reszta oddziału zdołała w tym czasie dotrzeć do przystani.

W tym miejscu po raz kolejny kronikarz musi wcisnąć nieco swoich dywagacji i usprawiedliwień. Niestety nie zdołałem dotrzeć do wielu uczestników tamtych wydarzeń, gdyż większość pożegnała się z życiem, zanim ta wojna dobiegła końca. Nigdy nie poznamy prawdziwych motywów, które kazały Megaduxowi ruszyć do walki lądowej bez choćby tak prozaicznych środków ostrożności, jakim było przeprowadzanie rozpoznania lub pozostawienie odpowiednich sił do obrony okrętów. Czy powodowała nim pycha bądź duma? Czy może na nadbrzeżu czekał podstawiony posłaniec, który błagał o ratunek, gdyż wrogowie już wdarli się do miasta? Nigdy się tego nie dowiemy, jednak jako iż miałem nieprzyjemność poznać w swoim czasie głównodowodzącego floty, uznałem, że wady jego charakteru były początkową przyczyną tej porażki. Naturalnie, w połączeniu z faktem zdobycia miasta przez buntowników całe dwa dni wcześniej, mieli czas na przygotowanie zasadzki, który to spożytkowali idealnie. Wróćmy jednak do opisów dalszych wydarzeń, które sprawiły, iż w efekcie kilka dni później doszło do prawdziwej bitwy floty.

Akouamarinjs nie wiedział co się dzieje. Około półtorej setki żołnierzy, wszyscy,

którzy ocaleli z gwałtownego starcia ulicznego, stali jak wryci na skraju przystani. Wściekły głównodowodzący zaczął przepychać się między nimi, miotając straszliwe przekleństwa, nie żałując przy tym ciosów kopytami. Za nimi ginęli ich towarzysze, żeby umożliwić im odwrót, a te patalachy po prostu stały w miejscu. Dopiero kiedy dotarł do pierwszych szeregów, zrozumiał ich reakcję. Na okrętach trwała walka – marynarze toczyli zajadły bój z „uchodźcami”, którzy już zostali umieszczeni na ich pokładach. Na tle zaciekłych starć na dromonach, okręt flagowy jawił się jako oaza ciszy i spokoju. Ekatontarchos wyraźnie nie dał się zaskoczyć, i ustawivszy najlepszych wojowników na trapie, zasypywał atakujących lawiną różnorodnych pocisków. Jediną bronią, która nie została wprowadzona do starcia, był płynny ogień, choć obsługujące jego wyrzutnie kucyki trwały w gotowości, czekając na rozkazy.

Sytuacja na okrętach nie należała do dobrych, ale prawdziwym problemem Megaduxa były siły blokujące mu do nich drogę. Kilkadziesiąt metrów od granicy wody i lądu, powstańcy pospiesznie wznosili prowizoryczną barykadę. Wszystko, co wpadło im w kopyta, było układane tak, żeby jak najbardziej utrudnić żołnierzom przebicie się do ich jedynej nadziei na ocalenie. Głównodowodzący słyszał w głębi ulicy coraz wyraźniejszy ryk nadciągających wrogów – prawdopodobnie zdołali się już przedrzeć przez szczupłe siły osłonowe. W takiej sytuacji mógł zrobić tylko jedno.

– Biegiem marsz! – krzyknął, a w chwilę potem, wszyscy żołnierze ruszyli w stronę szybko rosnących umocnień. Na ich spotkanie wyleciały nieliczne bełty, powalając pojedynczych pechowców. Rebelianci najprawdopodobniej zabrali kusze ze zwłok marynarzy, którzy mieli dbać o porządek ewakuacji. Gdy oddział znalazł się niecałe dziesięć metrów od umocnienia, padły kolejne komendy. – Oddział, stój! Włócznie!

W końcu udało się czymś zaskoczyć powstańców. Niewielu było świadomych, że krótkie włócznie desantowców, na krótką odległość potrafią być śmiertelnie skuteczną bronią miotającą. Świetnie wyszkoleni żołnierze wykorzystali to po mistrzowsku, i w stronę wrogów poleciała ponad setka pocisków. Jako że rzucali nimi prawdziwi eksperci, żniwo śmierci, jakie zebrały, było naprawdę spore. Ci, którzy przeżyli, kryli się gdzie mogli, lub w popłochu odstępowali od swoich prowizorycznych fortyfikacji, dokładnie tak, jak planował Akouamarínjs. Jego następna komenda była naprawdę prosta do przewidzenia.

– Szarża! – zaledwie z jego ust padło to słowo, zawtórowało mu wściekłe wycie desantowców, którzy rzucili się w stronę wroga. Teraz, kiedy mogli przejść przez umocnienia niemal bez strat, nic nie mogło uratować powstańców. Wściekli z powodu wejścia w zasadzkę, oraz utraty tak wielu przyjaciół, rzucili się na przeciwników niczym rozwścieczone bestie. Dopadli ich i w powietrzu raz jeszcze rozległ się świst toporków, kiedy kolejni wrogowie walili się na ziemię, zabici lub ciężko ranni. Żołnierze ani na chwilę nie stracili zimnej krwi, zdając sobie przy tym sprawę, że nie mają czasu na dobijanie wszystkich przeciwników. Ostrza ich broni spadały na głowy i grzbiety przeciwników, a ciosy obuchami

skutecznie ogłuszały lub łamały kończyny.

Rebelianci starali się dotrzymać pola, lecz po kilkunastu sekundach ogarnął ich dziki popłoch. Część z nich rzuciła się w stronę trapów, pragnąc za wszelką cenę przejąć okręty, inni zaś, szukali ratunku w ucieczce wzdłuż nadbrzeża lub w mętnej portowej wodzie. Co oczywiste, nie wszyscy szukali ocalenia w ucieczce – kilkudziesięciu z nich zbiło się w jedną grupę, zderzając się z nacierającymi desantowcami. Ich wyszkolenie było słabe, jakość uzbrojenia fatalna, ale odwagi im nie brakowało. Zanim zostali wybici do kopyta, zdolali uszczuplić siły Megaduxa o kolejnych kilkunastu żołnierzy.

Chociaż na pokładach trwały jeszcze starcia, to szala zwycięstwa zaczęła zdecydowanie przechylać się na korzyść sił floty. Walczący marynarze nabrali otuchy, widząc swoich towarzyszy i zdwoili wysiłki w oczyszczaniu pokładów z resztek wrogów. Ich straty były koszarne – wielu zginęło w pierwszych chwilach boju, kiedy zaskoczenie było kompletne. „Uchodźcy” dysponowali głównie sztyletami, ale nawet taka broń stanowiła zagrożenie dla nienoszących pancerzy wioślarzy i żaglomistrzów, jeżeli została użyta niespodziewanie. Na czterech okrętach sukces rebeliantów był całkowity – całe załogi zostały wycięte w pień. Akouamarínjsa kuśilo, żeby spróbować je odbić, ale przeważał w nim rozsądek. Po dotychczasowych walkach została mu niecała setka żołnierzy, a wróg lada chwila mógł otrzymać znaczące posiłki.

Żołnierze z Megaduxem na czele rzucili się na pozostałych jeszcze przy życiu przeciwników. Walka była krótka, gdyż buntownicy osaczeni z dwóch stron nie byli w stanie stawiać zorganizowanego oporu. Jeden po drugim padali pod kolejnymi ciosami, a ich ciała były wyrzucane za burty. Desantowcy, wspólnie z marynarzami, kończyli właśnie dożynanie niedobitków, kiedy na placu zaczęły pojawiać się kolejne oddziały powstańców. Powietrze zrobiło się gęste od beltów, gdyż większość przybyłych zdążyła uzbroić się w kusze. Na świeżo odbitych okrętach rozległy się jęki kolejnych rannych, gdyż przy takiej ilości pocisków wiele z nich musiało trafić w cele. Akouamarínjs widząc, że każda chwila powiększa jedynie ponoszone straty, nakazał okrętom opuścić przystań. Stanął na pokładzie swojego flagowca, i mrucząc pod nosem wyszukane przekleństwa, obserwował, jak kolejne statki odsuwają się od śmiercionośnych brzegów Topázi Apováthra.

Czuł przepelniającą go wściekłość i w tej chwili nie marzył o niczym innym, jak wyładowaniu jej na rebeliantach. Jego duma doznała potężnego uszczerbku – został odparty, a ponad to, nieomal pojmany przez bandę oprychów, która śmiała się zbuntować przeciwko władzy bazyleusa. Widok kłębiących się na brzegu kucyków z zapalonymi strzelającymi z kusz, wyrzaskujących przy tym różnorodne obelgi, skrytykował jego decyzję. Perła w koronie bazyleusa została zbrukana ich kopytami, wiedział też, że duchy jego poległych żołnierzy będą go nawiedzać do końca życia. No chyba że uda mu się zmasakrać przynajmniej część hańby, i wytracić tę obmierzłą hołotę. A skoro mają pojawić się duchy, to najlepiej od razu przeprowadzić egzorcyzmy. Ogniem.

Co prawda zapas łatwopalnej substancji był ograniczony wyłącznie do ładowni jego flagowca, ale wyglądało na to, że w końcu zaczyna sprzyjać mu szczęście, gdyż zaczął zrywać się silny wiatr, wiejący w kierunku miasta. Wystarczyło więc wzniecić pożary w kilku miejscach, żeby spora część miasta poszła z dymem. Zdawał sobie sprawę, że bazyleus mu za to nie podziękuje, ale w tym momencie miał to w głębokim poważaniu. Liczyła się tylko i wyłącznie zemsta na tych...

– Szanowny Megaduxie! – rozmyślania głównodowodzącego przerwał głos ekatontarchosa. Brzmiał jakoś dziwnie, jakby mówiący te słowa był... zupełnie zrezygnowany? – Proszę spojrzeć.

Akouamarínjs odwrócił się i zamarł z opuszczoną szczęką. Zza zakola wynurzały się statki. Nie okręty wojenne, lecz zwykłe statki rybackie i kupieckie. Pomiędzy nimi można było dostrzec nawet szalupy, a na pokładach wszystkich jednostek roilo się od uzbrojonych w różnorodną broń kucyków. Przez chwilę w duszy Megaduxa rozpalila się nadzieja, że to wierni obywatele przybywają miastu z odsieczą, lecz zgasła błyskawicznie, kiedy nad nimi załopotały bandery. Każda przedstawiała opancerzoną głowę zwieńczoną zakrzywionym rogiem. Głównodowodzący nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Ci marynarze od siedmiu boleści musieli być naprawdę zdesperowani, skoro chcieli atakować potężne okręty wojenne na takich krypach. Jednak w polu ich widzenia pojawiały się coraz to nowe jednostki, a w głowie Akouamarínjsa rozległy się słowa jednego z najbardziej szanowanych wykładowców, że ilość jest specyficzną odmianą jakości.

– Jakim cudem? Jak... – zapytał, lecz zanim zdołał kontynuować, ekatontarchos przerwał mu w pół słowa.

– Wystarczyło, że mieli na pokładach swoich zwolenników – głos dowódcy okrętu był dziwnie beznamietny. – A jak się ukryli? A to mało jest odnóg w tej zatoce? Tam można ukryć całą naszą flotę i nikt jej nie zobaczy z głównego nurtu.

– Musimy się przez nich przebić... – po raz kolejny wypowiedź Megaduxa została przerwana.

– Nie zdołamy tego zrobić – tym razem ton ekatontarchosa był połączeniem czystej furii i pogodzenia się z porażką. Jedynym, czego w nim nie było, to szacunku dla głównodowodzącego. – Gdybyś zostawił jeden okręt na straży, nigdy by do czegoś takiego nie doszło. Gdybyś nie wygubił naszych desantowców na ulicach miasta, moglibyśmy mieć szansę. Ale teraz? Tutaj? – szeroki ruch kopyta zobrazował niewielką przestrzeń, jaką okręty miały do dyspozycji. – Nie mamy gdzie nabrać rozpędu, a nawet jeżeli by nam się to udało, to brakuje nam wioślarzy, żeby przebić się przez ich jednostki. Spójrz prawdzie w oczy, Megaduxie. – Głos ekatontarchosa wprost ociekał pogardą. – My już nie żyjemy i jest to wyłącznie twoja wina. Najlepsze, co możemy zrobić, to zatopić nasze okręty, żeby nie wpadły w ich kopyta.

– Pan się zapomina – widać było, że Akouamarínjs doszedł do siebie po przeżytym

szoku. – Propozycja zatopienia okrętów jest niedorzeczna... przynajmniej chwilowo. Nie zniszczymy dumy naszej floty zanim nie przetrzebimy solidnie ich szeregow! Ani słowa! – ryknął, widząc, że dowódca okrętu ma zamiar protestować. – Jeżeli mamy zginąć ku chwale Cesarstwa, to zabierzemy ze sobą tylu tych bękartów ilu zdołamy. Sygnał na wszystkie okręty: atakujemy!

Crystalopolis

22 czerwca 3 roku panowania Króla Sombry (1456 rok istnienia Cesarstwa)

Nigdy nie udało mi się dotrzeć do prawdziwej relacji z masakry przy Topázi Apováthra. Jedno jest pewne – ta nazwa jest prawidłowa w odniesieniu do obu stron tamtej bitwy. Nie ulega jednak wątpliwości, że zwycięstwo przypadło rebeliantom. Ponieśli spore straty w wyniku działań floty, jednak ostatecznie, to w ich kopyta wpadła cała wzmocniona eskadra przekłętego Megaduxa Akouamarínisa. Faktem jest, że sami stracili wiele statków, lecz były to głównie krypy odpowiednie jedynie do działań w pobliżu brzegów. Wypłynięcie nimi na przestwór Límni Margaritári, oznaczałoby pewne samobójstwo, gdyż powszechnie wiadomo, iż warunki na tym wielkim jeziorze potrafią być zdradliwsze, niż na niejednym morzu czy oceanie. Wielu nieostrożnych żeglarzy, razem ze swoimi statkami, do dzisiaj spoczywa na dnie lekceważonego przez nich jeziora. Jedna tylko informacja zawsze brzmiała tak samo – Megadux Akouamarínis do końca dzielnie walczył na pokładzie swojego okrętu flagowego, aż w końcu, nie chcąc wpaść do niewoli, rzucił się w wody zatoki. Jego zbroja, wraz z nieodłącznym toporem, błyskawicznie pociągnęły go na dno. Jeżeli na tym świecie istnieje jakakolwiek sprawiedliwość, to jest nią to, iż jego kości do dzisiaj rozwlekane są przez różne żyjące w głębinach stwory, a on sam, nie zaznał wiecznego odpoczynku.

Dygresje, dygresje, dygresje. Naprawdę nie potrafię ich czasami opanować. Zapytacie jak potoczyły się losy uciekających do Elektron Epíneo? Xiphos doprowadził tam uchodźców z Zafeíripolis, jednak stało się to kosztem naprawdę bolesnych strat. Podczas przebijania drogi do przystani, poległ zżerany przez rozpacz katepánō Vírýllio. W bitewnym szale wyforsował się przed swoich żołnierzy i padł, skłuty rebelianckimi włóczniami. Jednak jego ofiara nie poszła na marne – zdołał w kluczowym momencie zdeorganizować powstańczy szyk, a w stworzoną przez niego wyrwę uderzyła reszta sił Xiphosa. Bitwa nie trwała długo, gdyż powstańcy, stojąc wobec groźby okrążenia, wycofali się z walki. Działo się to 7 maja 1453 roku istnienia Cesarstwa.

Kolejne dni upłynęły pod znakiem oczekiwania na flotę, oraz odpierania coraz to gwałtowniejszych szturmów. Chociaż każdy z nich kosztował rebeliantów pokaźną daninę krwi, to nie rezygnowali z dalszych ataków. Na ich korzyść działał brak jakichkolwiek fortyfikacji, więc za każdym razem uszczuplali szeregi obrońców. W końcu do walki musiała stanąć część cywilów, którzy wbrew obawom Xiphosa radzili sobie wcale nieźle. Oczywiście wielu ich ginęło, jednak powstańcy nie zdołali przełamać obrony. Tymczasem do Elektron Epíneo dotarła kolejna grupa uchodźców – tym razem z samej stolicy prowincji. Nie było ich

wielu, jednak sprzyjało im niesamowite wprost szczęście. Zdołali się przebić jedynie dlatego, iż wróg akurat wycofywał się po wyjątkowo krwawo odpartym szturmie. Nagłe pojawienie się kolumny uchodźców, eskortowanych przez niemal stu żołnierzy, tak zaskoczyło rebeliantów, że nie zdołali zorganizować się na czas. Niewielka grupa, która próbowała opóźnić ich dotarcie do miasta, została błyskawicznie rozniesiona na ostrzach włóczni.

Pomimo dotarcia posiłków, sytuacja uchodźców zaczynała wyglądać coraz bardziej rozpaczliwie. Brakowało informacji, gdyż każdy ochotnik udający się na zwiad był łapany i mordowany przez otaczających przystań rebeliantów. Choć było pod dostatkiem wody, to powoli zaczynały być widoczne braki żywności – nikt nie przewidział, że niewielkie portowe miasteczko miało wyżywić taką gromadę kucyków. Xiphos i Kechrimpári nie mieli również możliwości skontaktowania się z Crystalopolis, a nerwowe oczekiwanie na nadejście głównych sił Sombry, zżerało ich nerwy. Nie mogli wiedzieć, choć przypuszczali, że wróg porusza się wolniej, aby nie zostawić w tyle prowizorycznych taborów, w których znajdowała się żywność oraz maszyny oblężnicze. Na dodatek wolny marsz pozwalał wprowadzić ład w szeregi nadal niezorganizowanych buntowników. Zdawali sobie sprawę, że ich czas jest ograniczony, a możliwości obrony przed zdecydowanym szturmem praktycznie żadne. Krótki ostrzał z katapult, po którym zaatakowaliby nieco lepiej uzbrojeni rebelianci, mógł zakończyć się wyłącznie masakrą obrońców.

Rankiem 12 maja 1453 roku istnienia Cesarstwa, obserwatorzy przynieśli namiestnikom słodko-gorzkie wieści. Na wodach jeziora dostrzeżono flotę, która powinna dotrzeć do nich wczesnym popołudniem, jednocześnie jednak, zaobserwowano wzmożony ruch na linii wzgórz otaczających miasto. Sombra nadciągnął.

Xiphos podjął błyskawiczne decyzje – on sam wraz z żołnierzami miał stworzyć obronę, opierającą się na kilku placach i szerokich ulicach. Już od kilku dni wznoszono na nich stosowne barykady, gdyż stary namiestnik spodziewał się bezlitosnych ataków, które z całą pewnością nastąpią gdy przeciwnik zobaczy, że zdobyc im się wymyka. Kiedy wojsko miało zająć się obsadzaniem umocnień, Kechrimpári powinien zorganizować większość cywilów w grupy, które łatwo było można załadować na statki i okręty. Chociaż nie chcieli się do tego przyznać, żaden z nich nie wierzył, że flota zdąży na czas.

Opisywanie tamtych wydarzeń jest dla mnie swego rodzaju wyzwaniem. Sam byłem wtedy w Elektron Epíneio, wykonując wydane mi rozkazy, przez co pierwszy raz w życiu byłem świadkiem czegoś, co wydawało mi się różnym upływaniem czasu. Ostatnio jeden z uczonych wymyślił nawet ciekawe słowo do opisanie tego typu zjawisk. Brzmi ono... paradoks? W każdym razie podobnie, ale to akurat nieważne dla sedna opisu. Chodziło z grubsza o to, że patrząc na podpływające okręty, wydawało mi się, że sekundy wydłużają się w minuty, a te z kolei, w godziny. Z drugiej strony, postępy wojsk Sombry wydawały się absolutnie błyskawiczne. Już byli dwie godziny drogi od miasta. Już tylko godzinę. Już znajdowali się wręcz u jego bram!

Flota zdążyła. Drungarios Kýma zdołał doprowadzić ją na tyle wcześniej, że zanim buntownicy zorientowali się, co naprawdę się dzieje, na barykady dotarły już posiłki wyladowane z transportowców, a niemal połowa uchodźców znalazła się na pokładach. Z całą pewnością tego nie było w planach przyszłego tyrana Sombry – świadczył o tym szalony, gwałtowny atak, jaki przeprowadzili wszyscy znajdujący się w pobliżu powstańcy. Jednak tym razem nie napotkali zmęczonych ustawicznymi bojami obrońców. Na ich drodze wyrosła ściana włóczyń dzierzonych przez przybyłych na odsiecz scutati. Do dziś dnia nie znajduję słów, by opisać swą wdzięczność dla żołnierzy z tej formacji. Ciężko opancerzeni, uzbrojeni w długie włócznie, stanowili podstawę armii Krystallina Autokratorias. Nie szarżowali na wroga niczym kataphraktoi – o nie. Oni po prostu szli wolno przed siebie, a każdy, kto stawał na ich drodze, szybko przekonywał się osobiście, jak to jest z tym istnieniem życia pozagrobowego. Tej jednej rzeczy jestem pewny jak żadnej innej – gdyby nie ich poświęcenie, nie udałooby się wywieźć tak wielu uchodźców z Elektron Epíneo.

Nie będę wdawał się w szczegółowy opis walk na ulicach przystani. Dość powiedzieć, że dopiero na długo po zapadnięciu zmroku, na nadbrzeżu zaroilo się od płonących rebelianckich pochodni. Wytrzymali kilka godzin bezustannego szturmu. Żaden się nie poddał, i żaden nie dał się wziąć żywcem. Zdobyte później informacje ujawniły, że Sombra nie przyjął ucieczki floty spokojnie – bardzo mu na niej zależało. Z szeptanych opowieści zdołałem się dowiedzieć, iż tego dnia spadły głowy kilkunastu pomniejszych dowódców, których zadaniem było opanowanie przystani. Mimo to jego plan, polegający na niespodziewanym desancie w pobliżu stolicy, miał jeszcze minimalną szansę powodzenia. Nie wiedzieliśmy, że w kierunku konwoju zmierza wzmocniona eskadra floty, która została przejęta przez rebeliantów. Do spotkania z nią doszło po trzydniowej żegludze, kiedy w zasięgu wzroku nie było żadnego lądu. Korzystając z osłony ciemności, podeszli całkiem blisko, ale nie zdołali zaskoczyć spodziewającego się podstępu drungariosa. Tak o świcie 15 maja 1453 roku istnienia Cesarstwa, doszło do bitwy na Límni Margaritári.

Límni Margaritári

15 maja 1453 roku istnienia Cesarstwa

Nad oświetlanymi promieniami wschodzącego słońca wodami Límni Margaritári, niósł się łoskot bębnow oraz ostre tony gwizdków. Dla kompletnego obrazu należy wspomnieć o łomocie, powodowanym przez setki kopyt uderzających o drewniane pokłady dromonów. Każdy, kto mógł utrzymać się na własnych kopytach, sprawdzał broń i szykował się do bitwy. Z górującego nad pokładem xylokastronu dobiegały rozkazy, wykrzykiwane przez ekatontarchosa Serfárete. Żagle były zwijane i chowane pod pokład, a przedsiębiorczy protokaravos nadzorował napełnianie zbiorników wyrzutni płynnym ogniem. Dzięki jego nieautoryzowanemu postępkowi, okręt flagowy drungariosa Kýmy był w pełnej gotowości do walki. Sam dowódca eskadry wydawał polecenia, które jego oficer sygnałowy bezzwłocznie przekazywał na pozostałe okręty.

Treść poleceń była prosta – wszystkie transportowce dostały rozkaz jak najszybszej ucieczki, podczas gdy okręty wojenne miały uformować półokrąg, aby stanąć na drodze nadciągającego przeciwnika. Na ich pokładach ładowano kusze i pokładowe wyrzutnie. Ku zdumieniu zaokrętowanych na dromony resztek armii zachodnich prowincji, ich załogi wydawały się niemal zrelaksowane. Przewaga nacierających rebeliantów nie robiła na nich żadnego wrażenia, jakby takie starcia były dla nich codziennością.

Drungarios Kýma odwrócił się do towarzyszących mu namiestników. Zarówno Xiphos, jak i Kechrimpári, nie czuli się zbyt swobodnie, co było po nich widać, tak samo jak fakt, że z trudem hamują pytania, które cisną im się na usta. Obecny głównodowodzący uśmiechnął się lekko i postanowił rozwiać choć część dręczących ich obaw.

– Wygląda na to, że coś trapi szanownych namiestników – zagaił, a widząc ich miny, z trudem powstrzymał przemożną chęć parsknięcia śmiechem.

– Nie da się ukryć, drungariosie – Kechrimpári naturalnie odezwał się pierwszy. – Nie ukrywam, że na działaniach floty znam się jeszcze mniej niż na manewrach armii, ale czy ich przewaga nie uczyni tego boju nieco... – zawahał się, po czym dodał – ...jednostronnym?

– Mają jedynie trzy okręty więcej. Fakt, jeden z nich jest większy i ma pełne zbiorniki płynnego ognia, ale to i tak nie wyrównuje ich szans, ponieważ my dysponujemy czymś, co jest im całkowicie obce.

– A mowa tu o...? – zapytał Kechrimpári.

– Doświadczeniu, szanowny namiestniku – tym razem w głosie Kýmy słychać było powagę. – Szacuję, że w najgorszym przypadku mogą mieć na pokładzie połowę kucyków, które kiedykolwiek miały okazję pływać na okrętach wojennych lub transportowych. Podejrzewam jednak, że to nazbyt pesymistyczne przewidywania. – Natychmiast podjął wątek, widząc, że jego rozmówca nie ma zamiaru odpuścić. – Nasza flota nie jest duża, więc i niewielu jest obywateli z doświadczeniem. Na dodatek większość mieszka... mieszkała w Elektron Epíneo lub w okolicy stolicy. Może niektórzy się do nich przyłączyli, ale Serfárete zdążył mi powiedzieć, że wśród uchodźców zobaczył wiele znajomych twarzy.

– Mnie zastanawia coś innego, drungariosie – wtrącił się Xiphos. – Skąd wiesz, że na tych okrętach... – wskazał kopytem na drugie zgrupowanie floty, które znajdowało się już całkiem blisko – na pewno są rebelianci? Przecież płyną pod banderą Cesarstwa.

– To bardzo proste, szanowny namiestniku. Mogę nie przepadać za Megaduxem Akouamarínisem, ale on nigdy by nie dopuścił do czegoś takiego... – Kýma prychnął pogardliwe, również wskazując na nadpływającego przeciwnika. – Przecież oni nie trzymają żadnego szyku, ani dyscypliny. Gdyby Megadux lub którykolwiek z naszych kapitanów był na pokładzie, to już byśmy słyszeli ich wściekle wrzaski.

– Skoro pan tak twierdzi... – Xiphos nie wyglądał na przekonanego, ale zanim zdążył zgłosić kolejne obiekcje, obok niego zmaterializował się ekatontarchos.

– Szanowny drungariosie, wszystkie przygotowania zakończone. Jesteśmy gotowi do bitwy, a buntownicy są już w naszym zasięgu – zameldował Serfárete, ignorując obu

namiestników, którzy wyglądali jakby mieli dostać zawału wywołanego przez jego bezszelestne podejście.

– Panowie mi wybaczą, ale wzywają mnie obowiązki – Kýma skłonił głowę, po czym zwrócił się do ekatontarchosa. – Podnieść flagi sygnałowe, Serfárete. Nacieramy.

Na znak z okrętu flagowego, sześć dromonów ruszyło w stronę nieprzyjaciela. Każdy, kto kiedykolwiek miał do czynienia z manewrami floty, już na pierwszy rzut oka mógł ujrzeć różnicę w wyszkoleniu uczestników boju. Z jednej strony grupa okrętów, dla których taktyki jedyną odpowiednią nazwą było stwierdzenie „kupą, mości panowie!”, a z drugiej, zaledwie sześć jednostek, które zgodnie z zasadami sztuki wojny flot, ustawiły się w formacji znanej pod nazwą *aspelagolemen*⁸. Co prawda standardowo półkole bojowe powinno składać się z większej liczby okrętów, no i użycie go w walce z liczniejszym przeciwnikiem zakrawało na wariactwo, jednak tym razem, drungarios Kýma miał uzasadnione powody, by postąpić właśnie w taki sposób. Rebelianci posiadali osiem dromonów, które otaczały pojedynczy okręt klasy chelandion, dawną jednostkę flagową Megaduxa Akouamarínisa. Płynąc w zwartej formacji, sami pozbawili się największego atutu – możliwości oskrzydlenia mniej liczego przeciwnika.

Drungarios zdawał sobie sprawę, iż jego taktyka niesie ze sobą spore ryzyko. Jeżeli buntownicy uderzyliby z całą mocą w centrum półkola, niektóre ich jednostki mogły prześlizgnąć się obok jego okrętów i ruszyć w pogoń za powolnymi transportowcami. Kýma nie miał złudzeń – chociaż rozkazał wydać kusze obecnym na ich pokładach, to wiedział, że w starciu z szybkimi dromonami konwój był bez szans, tym bardziej, że cięższe uzbrojenie zostało zdemontowane, by pomieścić więcej uchodźców. Zaciśnął wargi, przysięgając sobie w duchu, że choćby mieli wszyscy zginąć, to wróg się przez nich nie przedrze, gdyż w tym przypadku, murami obronnymi Krystallina Autokratorias były drewniane burty jego okrętów. Widząc, iż odległość znacznie się zmniejszyła, wydał rozkaz rozpoczęcia ostrzału.

Umieszczone na pokładach wyrzutnie pocisków, fachowo zwane *toxovolistres*, wyrzuciły w kierunku wrogich okrętów grad niewielkich pocisków. Jednocześnie rozległ się prawdziwy łoskot bębnow, kiedy okręty drungariosa zaczęły nabierać prędkości. Z pokładów ich przeciwników dobiegły wrzaski wściekłości, kiedy nadlatujący śmiertelny deszcz dogłębnie uświadomił rebeliantom, iż ich podstęp zawiódł. Chociaż zostali zaskoczeni i nie mieli doświadczenia w walce na wodzie, natychmiast odpowiedzieli ogniem.

Od razu dało się zauważyć, kto wie dokładnie, jak powinno toczyć się morską walkę. Ostrzał z eskadry drungariosa prowadzony był nieco wolniej, za to znakomita większość pocisków znajdowała swoje cele i wśród rebeliantów trup siał się gęsto. Niedoświadczeni powstańcy strzelali najszybciej jak mogli, nie przejmując się takimi szczegółami, jak kołysanie na fali, czy też wzajemny ruch szybkich galer, przez co za uzyskane przez nich

⁸ Formacja w kształcie półkola – najsilniejsze okręty na skrzydłach wiązały przeciwnika walką, podczas gdy podążające za nimi używały w tym czasie machin miotających i ognia greckiego.

trafienia odpowiadały raczej przypadek, ślepe zrządzenie losu, niż dokładne celowanie. Naturalnie ta wymiana ciosów była jedynie przygrywką do właściwego starcia.

Dwa wysunięte na skrzydła dromony wykonały zwrot, a rytm wybijany na ich pokładowych bębnach osiągnął zawrotną szybkość, gdy wioślarze wyteżyli wszystkie siły, by nadać swoim okrętom potężne przyspieszenie. Ich dzioby jednoznacznie celowały w skrajne jednostki drugiej linii rebeliantów, a nagłość manewru, uniemożliwiła przeciwnikom podjęcie choćby próby ucieczki z ciasnego, utrudniającego manewrowanie szyku. Na ich pokładach słychać było okrzyki przestachu, gdy zobaczyli potężne tarany, prujące fale, zbliżające do ich burt. Zderzenie było nieuniknione, a rosnąca panika zadziałała na korzyść cesarskich, gdyż wioślarze z zagrożonych burt, zaczęli masowo porzucać swoje stanowiska. Teraz już nic nie mogło ich uratować.

Najpierw słychać było serię cichych trzasków, kiedy porzucone wiosła, stojące na drodze nadciągających dromonów, pękały niczym zapalki. Ten dźwięk został szybko zastąpiony hukiem taranów uderzających w burty okrętów. Odgłos rozdzieranych desek, połączony z potężnym, łamiącym maszty wstrząsem, zwiastował nieuniknioną zagładę staranowanych okrętów. Kilkunastu nieszczęśników nie zdołało się odsunąć, kiedy wzmocniona żelazem belka otworzyła drogę bezlitosnym falom jeziora – ci, którzy zginęli na miejscu, mieli naprawdę dużo szczęścia. Znacznie gorszy los czekał resztę, uwięzioną na tonących dromonach, gdyż brak doświadczenia, jak i zamęt wywołany przez padające maszty, praktycznie odebrał im jakąkolwiek szansę na samodzielne ocalenie okrętów, jak i własnego życia.

Dowódcy cesarskich jednostek nie czekali, aż zdesperowani powstańcy spróbują dostać się na ich okręty. Raz jeszcze wioślarze wyteżyli siły, a galery zaczęły powoli odsuwać się, od skazanych na zagładę przeciwników. W wybite dziury runęła fala wody, a rozpaczliwe krzyki uwięzionych na pokładach nie przeszły bez echa. Kolejne dromony powstańców ruszyły w stronę wycofujących się jednostek Cesarstwa.

Obserwujący to z pokładu swojego flagowca, drungarios Kýma wyszczerzył zęby w radosnym uśmiechu. Jego ryzykowny plan, zakładający kompletną nieznajomość taktyki działania floty wśród oponentów, zadziałał idealnie. Skrzydła jego formacji wyeliminowały lub związały walką niemal połowę wrogiej eskadry, zostawiając głównym siłom pięć jednostek, o które musiał się martwić. Fakt – jedna z nich była zdecydowanie większa, i z tego co wiedział, miała pełen ładunek płynnego ognia, ale specjalnie się tym nie przejmował. W przeciwieństwie od tego, co uważali laicy, obsługa wyrzutni, wraz z celnym ostrzałem, nie należały do najłatwiejszych rzeczy pod słońcem. A jeżeli dodać do tego bezustanny grad pocisków, którymi zasypywali przeciwników, to użycie tej strasznej broni nie było jego największym zmartwieniem. Mimo wszystko, nie zamierzał narażać swoich podwładnych na niepotrzebne ryzyko. Flagi sygnałowe przyporządkowały cele wszystkim okrętom jego eskadry, zaś flagowiec wziął kurs prosto na największą jednostkę powstańców.

Okręty floty Cesarstwa ruszyły z pełną prędkością w kierunku przeciwnika. Na samym przedzie pruł fale dromon dowodzony przez ekatontarchosa Chrysoberyla. Ten młody dowódca był wschodzącą gwiazdą w korpusie oficerskim marynarki, i wszyscy, bez wyjątku, przepowiadali mu wspaniałą przyszłość, łącznie z objęciem w swoim czasie stanowiska Megaduxa. Potomek jednego z ważniejszych rodów szlacheckich, który spędził na swoim stanowisku zaledwie kilka miesięcy, był powszechnie uwielbiany przez swoją załogę. Straszliwie wymagający, ale sprawiedliwy, nigdy nie dopuszczał do najmniejszych konfliktów na podległej mu jednostce i dbał, by jego marynarzom nie zbywało na niczym. Z tych właśnie powodów byli gotowi iść za nim w ogień. Teraz wioślarze sprawili, że okręt niemalże mknął po falach, w kierunku dwóch jednostek powstańców. Co prawda Chrysoberyl miał za zadanie zaatakować dalszą z nich, jednak uznał, że nie zaszkodzi wejść do walki nieco wcześniej niż zostało to ustalone. Kiedy czołowe zderzenie wydawało się nieuniknione, wydał rozkaz, który zaowocował minimalną zmianą kursu i wciągnięciem wioseł na pokład. Wszystko udało się idealnie – rebelianci nie spodziewali się podobnego manewru, więc przepływająca tuż obok nich jednostka połamała wszystkie wiosła ich okrętu, które dostały się między burty. Spod pokładu dobiegły okrzyki bólu, kiedy potężne drzewca były wrywane z kopyt dzierżących je kucyków, uderzając we wszystkich, którzy mieli nieszczęście znaleźć się na ich drodze.

Naturalnie buntownicy nie pozostali bezczynni. Na pokład cesarskiego okrętu zostały rzucone haki abordażowe, które miały go zatrzymać. Chrysoberyl nie dał się jednak złapać na tak prymitywną sztuczkę. W momencie, gdy pierwsze z nich spadły na pokład jego jednostki, nakazał kolejną zmianę kursu, która oddaliła go od burty rebeliantów. Sternik przeciwnika nie zdołał powtórzyć tego manewru, a nagle działanie przeciwstawnych sił, bezlitośnie zerwało sznury łączące okręty – i nie było to jedyne, co osiągnęły. Duża szybkość cesarskiej jednostki sprawiła, iż część niedbale przywiązanych lin wyrwała się z pokładu powstańców razem z elementami, które miały je przytrzymywać. Starcie trwało kilka sekund, lecz pozostawiło okręt rebeliantów w opłakanym stanie – górna część burty została wprost wyrwana na niemal połowie jego długości, a jego maszt pękł jak zapałka, gdyż niedoświadczeni przeciwnicy eskadry Cesarstwa nie pomyśleli o ściągnięciu żagli przed rozpoczęciem walki. Dromon Chrysoberyla odniósł jedynie niewielkie uszkodzenia. Bezzwłocznie wczepił się w płynący dalej okręt, doprowadzając do klasycznego abordażu burta w burtę. Nad wodami jeziora rozległ się przenikliwy ryk bojowy, kiedy desantowcy Cesarstwa miotnęli włóczniami, po czym rzucili się na przeciwnika, włączając do walki swoje niezawodne toporki. Za nimi postępowało kilkudziesięciu żołnierzy oraz lepiej uzbrojonych cywilów, którzy w czasie ewakuacji zostali przydzieleni na pokład tego okrętu. Wkrótce pokład, jak i woda, zaczęły przybierać kolor głębokiego karmazynu...

Chociaż buntownicy wydawali się całkowicie zdeklasowani, też mieli w zanadrzu kilka nieprzyjemnych niespodzianek. Kiedy ekontarchos kolejnego okrętu cesarskiej eskadry chciał powtórzyć manewr Chrysoberyla, natknął się na poważne trudności. Z pokładu jednostki, którą wybrał na cel uniosły się dwie dziwaczne konstrukcje, dotychczas ukryte za

wysokimi burtami. Szok dowódcy okrętu był podwójny – pomostu bojowego *corvus* nie używano we flocie od kilkudziesięciu lat, gdyż bardzo utrudniał wykonywanie manewrów, a poza tym wyglądało na to, że nie zostały podniesione siłą mięśni. Obie kładki bojowe były otoczone kolorową poświatą, a za nimi stały dwa jednorożce, kierując je ku wyznaczonemu celowi. Wykrzyczany rozkaz skierował na nich całą potęgę broni dystansowej, jaką dysponował dromon, lecz zanim obaj padli naszpikowani belkami, zdążyli osiągnąć swój cel. Potężne kolce znajdujące się na końcach pomostów wbiły się w pokład cesarskiej jednostki, dając czekającym rebeliantom szansę na rozpoczęcie abordażu. Desantowcy i żołnierze szybko otrząsnęli się z zaskoczenia, jednak część wrogów zdołała w tym czasie przebiec na ich pokład, tworząc bezpieczny przyczółek dla pozostałych. Chociaż miotane włócznie nieco przerzedziły ich szeregi, masa atakujących buntowników uniemożliwiła wyparcie ich na pomosty, a na pokładzie zahaczonego dromona doszło do szaleńczej bitwy, gdy w ruch poszły ostrza, kopyta i zęby.

Drungarios Kýma przygryzł niespokojnie wargę, obserwując przebieg całego starcia. Wszystkie jego jednostki szczyły się ze swoimi odpowiednikami, a szczęk oręża niósł się nad powierzchnią jeziora. Dodatkowo, obecność jednorożców stanowiła solidne zaskoczenie, tak samo jak ich bezwzględność. Na jego oczach magia przesunęła wyrzutnię płynnego ognia, i kaskada płomieni zaala cesarską jednostkę, która przybiła do burty okulawionego przez Chrysoberyla dromona. Straszliwe krzyki płonących niemal przytłumiły odgłosy całej bitwy. Wrogi mag nie przejmował się, iż jednocześnie podpalił jeden ze swoich okrętów – liczyło się jedynie zatopienie jednej z jednostek cesarskiej eskadry. Głównodowodzący wiedział, że musi podjąć błyskawiczną decyzję – pierwotny plan zakładał wzięcie dawnego okrętu flagowego Megaduxa abordażem po wcześniejszym spaleniu ostatniego towarzyszącego mu dromona. Jednak w sytuacji, gdzie na pokładach części wrogich jednostek znajdowali się władający magią, drungarios uznał, że przyszedł czas na bardziej zdecydowane działania. Nie ukrywał sam przed sobą, że liczył również na łut szczęścia – widząc, jak gwałtownie magik manewruje wyrzutnią, miał nadzieję na jakąś usterkę. A jeżeli sama nie chciała się objawić, to należało losowi nieco dopomóc.

- Uruchomić wyrzutnię płynnego ognia! – krzyknął Kýma.
- Szanowny drungariosie, jesteśmy jeszcze przed granicą skutecznego zasięgu – zaprotestował Serfárete.
- Wiem o tym, ekonchartosie. Mimo to proszę rozpocząć ostrzał jednostki flagowej przeciwnika.
- Ależ drungariosie! Nawet przy najbardziej oszczędnym dawkowaniu zapas starczy nam na zaledwie trzy strzały. Czy nie lepiej poczekać, aż...
- Wykonać! – w głosie Kýmy wyraźnie słychać było stal oficerskiego tonu.

Pozbawiony możliwości dalszego sprzeciwu, Serfárete dał znak stojącym przy wyrzutni marynarzom, którzy natychmiast wystrzelili pierwszą salwę w kierunku okrętu flagowego. Zgodnie z przewidywaniami ekontarchosa, płomienie opadły do wody przed

dziobem wrogiej jednostki. Już miał zakłąć pod nosem i raz jeszcze spróbować przekonać drungariosa o bezsensie marnowania drogocennej amunicji, gdy ujrzał jak wszelkie nadzieje jego dowódcy spełniły się w wyjątkowo spektakularny sposób. Jednorożec operujący zabójczą bronią wyraźnie spanikował i gwałtownie spróbował przenieść ostrzał na atakujący go flagowiec eskadry Cesarstwa. Nie przewidział dwóch rzeczy – faktu, że wyrzutnia zasadniczo nie była przystosowana do tak gwałtownych manewrów, jak i tego, że mieszanka minerałów tworząca płynny ogień bardzo gwałtownie reagowała na kontakt z powietrzem. Pod wpływem wywołanych magią naprężeń, dolna część urządzenia pękła, wystawiając na działanie czynników zewnętrznych jeden z pełnych zbiorników.

Strasliwa eksplozja targnęła powietrzem, rozpruwając cały dziób największego okrętu rebeliantów. Grad płonących drzazg sypnął się na wszystkie strony, raniąc i zabijając kucyki walczące na pozostałych okrętach. Operator wyrzutni dosłownie wyparował, a szybkość jego okrętu przypieczętowała jego los, gdyż do gigantycznej dziury zaczęła wlewać się woda. Zanim załoga zdążyła zrobić cokolwiek, wrak potężnej kiedyś jednostki zniknął pod powierzchnię jeziora. Nikt nie zdołał się uratować.

Z okrętów Cesarstwa rozległy się gromkie wiwaty, a ich załogi z nową siłą podjęły eksterminację buntowników, w których szeregi wkrađło się dzikie przerażenie. Spektakularne i błyskawiczne zniszczenie okrętu ich dowódcy, całkowicie odebrało im ducha walki. Wielu rzuciło broń, błagając o darowanie życia, inni w przypływie paniki skakali za burty, w nadziei pozbawionej jakichkolwiek szans powodzenia ucieczki. Jedyne ocalały dromon manewrował rozpaczliwe, lecz nie zdołał ujsć przed ścigającym go ekontarchosem Serfárete. Dwie salwy wyczerpały zbiorniki flagowca, ale swoje zadanie spełniły, gdyż pokład wrogiej jednostki przypominał teraz wnętrze hutniczego pieca.

Tym razem los i szczęście stało po stronie Krystallina Autokratorias. Bitwa była wygrana.

Crystalopolis

28 czerwca 3 roku panowania Króla Sombry (1456 rok istnienia Cesarstwa)

Raz jeszcze jestem zmuszony błagać czytających kronikę o wybaczenie. Moja nieznajomość wszelkich realiów starć floty, z pewnością odcisnęła piętno na wiarygodności opisu, choć na całą bitwę spoglądałem swoimi oczami. Co muszę przyznać – chociaż relacja sugeruje, iż cała rzecz wydarzyła się wręcz w ułamkach sekund, to naprawdę walka trwała niemal dwie godziny. W porównaniu ze starciami lądowymi, bitwy z udziałem okrętów są niemal... statyczne.

Cóż więcej mogę napisać o dalszych bojach? Nie ma takich pochwał, których szczędziłbym drungariosowi Kýmie, którego geniusz, zdolność przewidywania oraz skłonność do podejmowania starannie skalkulowanego ryzyka, okazały się być mieszanką bardziej

śmiertelną od płynnego ognia. Dodając do tego doskonałe umiejętności jego załóg, zwycięstwo było praktycznie przesądzone, chociaż na początku bitwy miałem na ten temat całkowicie odmienne zdanie.

Niestety, choć zwycięstwo było chwalebne, to nie umniejsza bólu po poległych w tej bitwie. Zastosowanie dawno przestarzałych corvusów, jak i obecność jednorożców sprawiła, iż poniesione straty były o wiele wyższe od przewidywanych. Nic więc dziwnego, iż wściekłość zwycięzców skutecznie rozwiązała wszelkie problemy związane z jeńcami, zanim ci się jeszcze pojawili. Ci, którzy nie padli pod ciosami zostali potopieni, kiedy okazało się, iż nie przeżył żaden ze znacniejszych oficerów Sombry. Po dokonaniu egzekucji, wszystkie okręty skierowały się do portu przynależnego stolicy, na drodze do której, nie spotkała ich już żadna niespodziewana przygoda.

Pamiętam jak dziś teorie snute podczas pozostałej części podróży – obecność jednorożców wskazywała na to, iż naszym wrogiem jest sama Equestria. Niektórzy byli o tym święcie przekonani, inni z kolei dowodzili, że przy ich potencjale nie musieliby uciekać się do takich sztuczek. Teraz, po kilku latach już wiadomo, iż Królewskie Siostry nie były odpowiedzialne za tamte wydarzenia, choć rzeczywiście przyszły uzurpator pochodził z ich kraju, i tam też dobrał sobie współpracowników. Choćbym bardzo chciał, nie mogę winić ich za dopuszczenie do upadku mojej ojczyzny. Nikt nie mógł przypuszczać, iż jeden z ich zdolniejszych magów okaże się żądnym władzy tyranem, dla którego życie innych jest nic nieznaczącą drobnostką, którą łatwo może poświęcić na drodze do wyznaczonego celu.

Chociaż piszę o upadku, to wtedy, po chwalebnym zwycięstwie, wszystko zdawało się układać lepiej i nikt, nawet wieczny pesymista Xiphos, nie dopuszczał myśli o ostatecznym sukcesie buntowników. W końcu nie udało im się zdobyć floty, co oznaczało, że Crystalopolis zyskało więcej czasu na wysłanie przeciwko nim armii. Oczywiście rebelianci mogli szybkim marszem podejść pod mury w kilka dni, ale to oznaczałoby odcięcie się od źródeł zaopatrzenia. Nikt nie przypuszczał, że po tak starannym rozpoczęciu wojny, Sombra mógłby wykazać się podobną głupotą. Niestety mieli rację – wróg był przemyślny i gotowy odłożyć chwilę ostatecznego zwycięstwa, żeby całkowicie go nie zaprzepaścić pochopnymi działaniami.

Po dotarciu do stolicy, Xiphos i Kechrimpári złożyli bazyleusowi szczegółowe raporty na temat tego, co się wydarzyło w zachodnich prowincjach. Wbrew radom niektórych ze swoich doradców, władca Krystallina Autokratorias nie oddał ich katu za przegrane stoczonych bitew, a wręcz chwalił za zdawałoby się niemożliwe dokonanie, jakim było wyprowadzenie z matni kilku tysięcy uchodźców. Uznał również, iż dalsza zwłoka może doprowadzić do nieobliczalnych następstw. Sam nie był genialnym strategiem – jego umiejętności polegały raczej na umiejętnych działaniach w dziedzinie administracji, jednak potrafił słuchać mądrych doradców.

Nim minęła godzina, zarządzono przyspieszenie mobilizacji armii Cesarstwa. W kilka dni pod murami Crystalopolis zebrała się potężna siła, którą wysłano przeciwko nadciągającym hordom Sombry. Nie zapomniano o taborach, które choć spowalniały armię, to umożliwiały jej działanie w odcięciu od linii zaopatrzeniowych. Dowództwo objął strategos Kontos, który jak zwykle żartował przy tej okazji ze stosowności swojego imienia, dzięki któremu zawsze mógł twierdzić, iż walczy u boku każdego ze swoich żołnierzy. Pomny losu Megaduxa, nie zamierzał lekceważyć przeciwnika, lecz równocześnie nie obawiał się wyznaczonego mu zadania. Zostawiając jedynie niewielki garnizon do pomocy Gwardii Cesarskiej, ruszył naprzeciw buntownikom, za wszelką cenę chcąc doprowadzić do walnej bitwy.

Doszło do niej i chociaż nie dane mi było być jej świadkiem, to również zostanie przeze mnie opisana. Stoczono ją w miejscu, które od tego czasu nosi nazwę Pól Strzaskanego Kryształu.